N. 14. WARSZAWA d. 25 Marca (6 Kwietnia) 1872 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru.

MIESZKANIA NAWODNE

PRZEDHISTORYCZNE

PRZEZ

Dra Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

c) Nawodziska w ogólności.

Trzecim nareszcie zabytkiem kultury ludzkiéj z przedhistorycznych czasów, są tak nazwane *mieszkania nawodne*, a raczéj ich szczątki, które nowszemi czasy odkryto po jeziorach, rzekach i zatokach morskich. Oddawna zapewne wiedziano o tych palach po nad brzegami wód, gęsto w łożyska jezior i rzek powbijanych i sterczących już po nad powierzchnią wody, już niedosięgających jéj lustra. Ale nikt się nie domyślał starożytnego znaczenia tych szczątków, które nienawidził szczególniéj rybak rozdzierający sobie sieci o te pale.

Dopiéro zimą 1853 na rok 1854 zdarzyło się, że gdy jezioro Zürichowskie w Szwajcarji znacznie było opadło, pomyślano na oschłym gruncie w okolicy osady *Meilen* wystawić mur mocny, dla przyłączenia opadłego nadbrzeża jeziornego do osady. Przy kopaniu fundamentów w głębokości pięciu stóp, pokazały się nagłówki licznych palów, między któremi, kopiąc daléj, znaleziono rozliczne narzędzia z kamienia i z krzemienia wyrobione, jako to: siekiery, młoty, kliny kamienne i inne drobniejsze krzemienne rzeczy. Gdy o tém doniesiono do Zürichu, kopania odbywały się daléj pod umiejętnym nadzorem Dr. *Ferdynanda Keller*, i wydobyto różne wyroby z kości, rogów, zębów i drzewa. Napotkano na garnki i naczynia z niepalonéj gliny, na łupiny laskowych orzechów, na żywiczne czubki sosnowe. Znaleziono jako przedmioty zbytkowe, jeden tylko koral bursztynowy i jednę tylko bronzową zapinkę. Odgrzebano resztki szkieletów ludzkich, a między niemi jednę tylko przednią część ludzkiéj czaszki. Dokopano się w końcu pierwotnego gruntu jeziornego, w który powbijane były pale. Około nich i nad niemi nagromadził się czarny ił, z którego owe przedmioty powynajdywano, a cały ten pokład iłu przykryty był na łokieć grubym żółto szarym szlamem.

Było tu więc wyraźne siedlisko ludzi z przedhistorycznych czasów, i *Dr. Keller* pierwszy je ogłosił jako takie. Ludzie ci nie znali jeszcze użytku metali, i tylko z kamieni, kości i drzewa wyrabiali sobie potrzebną broń i potrzebne narzędzia. Żywot ich odnosi się więc do okresu kultury kamiennéj.

Okoliczność ta rozbudziła ciekawość powszechną i poczęto robić poszukiwania po innych jeziorach i wodach w Szwajcarji, oraz po tych torfowiskach, które na opadłych jeziorach powstały. Natrafiano prawie wszędzie na pale i na przedmioty sięgające czasów kamiennéj, bronzowéj, a nawet żelaznéj epoki. Co dowodzi, że tego rodzaju budowle nawodne (Niemcy nazywają je *Pfahlbauten* czyli budowlami palowemi, a mybyśmy je *nawodziskami* nazwali) aż do historycznych czasów się przeciągały i służyły za nawodne mieszkania osadom, dla których już dostępną była i kultura bronzowéj epoki, i daleko późniejsza żelaznych wyrobów, o czém jeszcze następnie mówić będziemy.

Z téj obfitości nawodzisk po całéj Szwajcarji pomiędzy górami Jura i Alpami, poczęto wnosić, że tylko w tych okolicach mieszkał lud przedhistoryczny, budujący siedliska swoje nie na lądzie, ale na wodach. Tymczasem wkrótce już pokazało się mylném takie mniemanie.

Już w dziesięć lat później 1862 r. archiwarjusz *Lisch* ze Skwirzyny (Szwerynu) wskazał, że podobne nawodziska znajdują się i w północnych Niemczech, a w rok następny odsłonił pod wioską *Gaegelow* w pobliżu miasta portowego Wismar, obszerne szczątki budowli palowych z resztkami kultury kamiennéj epoki.

Niebawem także profesor *Desor*, bawarczyk, sprowadził do Monachjum szkuciarza *Benza*, znakomitego poszukiwacza budowli nawodnych w Szwajcarji i polecił mu zwiedzić na ten cel brzegi jeziora Starnbergskiego. Sam udał się potem na miejsce ze sławnym zoologiem *Sieboldem* dla robienia poszukiwań. Na prawym brzegu jeziora trafili na ślady starożytności z czasów rzymskich. Przejechawszy na nadbrzeża po lewéj stronie wody, skierowali się ku wysepce zwanéj *różową*, na któréj wówczas budowano letni pałac króla Maksymiljana, i wpadli zaraz na trop powbijanych pali, wysterczających ze szlamu, na trzy stopy pod powierzchnią wody, dość przezroczystéj, tak że można było pierścienie rdzenia tych pali rozpoznać. Pale widocznie ciągnęły się jeszcze pod wyspą, tak że wyspa wyraźnie jest sztucznym nasypem do późniejszych czasów odnoszącym się. Podobny przypadek nasypowych wysepek w miejscach, gdzie niegdyś stały nawodne mieszkania ludzkie, zauważano w jeziorze *Inkwylowém* i w *isoletta de Varese*, t. j. wysepce na jeziorze Warezkiém.

Obok palów wydobyto ze szlamu skorupy garncarskie z czarnego iłu, niedokładnie wypalone, a wyraźnie ręką wyrabiane, ozdobione dołeczkami od wciśnionych palcy, albo obwiedzione u góry wieńcem, palcem naznaczonym. Przy staranniejszém szukaniu pokazały się i kości; z tych większe były połupane, dla wysysania z nich szpiku. Pan Siebold odkrył w nich kości końskie, jelenie, wole, wilcze i dzikiéj świni.

Podobne szczątki nawodzisk znalazł Siebold za pomocą szkuciarza Benza na jeziorze *Chiem*. A gdy zaczęto w tych miejscach szlam wydobywać, powynajdywano dość obfite okazy narzędzi kamiennych i wyrobów kościanych.

Zaczęły się odtąd mnożyć odkrycia palowych nawodnych budowli, nietylko w Bawarji ale i po wodach w północnych Włoszech, mianowicie w jeziorze *Garda*.

W Niemczech najgorliwiéj się tym przedmiotem zajmowano i pokazały się nawodziska w Morawji, w nowéj Marchji, w Pomeranji, gdzie je zdejmował w planach prof. *Virchow* z Berlina, bardzo skwapliwie zajmujący się tego rodzaju archeologją. Zgoła budowle palowe, czyli jak je nazywamy nawodziska, należą dziś już do rzeczy zupełnie znanych i przyjętych za zabytki z odległych czasów kamiennéj epoki. Chodzi nam jeszcze tylko o bliższe ich oznaczenie pod względem materjału, wieku i celu, jaki mogły mieć owe mieszkania nawodne.

Wszystkie mają to wspólnego, że były budowane na palach i że się trzymały mielizn nadbrzeżnych; a jeżeli gdzie daléj sięgały na głębią z powodu rozszerzającéj się osady, to już takie budowy do późniejszych należą czasów. Zrobiono postrzeżenie w zachodnich częściach Szwajcarji: że nawodziska na mieliznach i bliżéj nadbrzeży budowane, całkiem do kamiennéj epoki odnoszą się i nie znaleziono w nich żadnego metalu, że pale są o wiele grubsze i dla mielizn mało wystające z wody,—że nawodziska na głębiach do 30 stóp dochodzących, bardziéj od brzegów są oddalone i przechowały nieraz obfite zbiory naczyń, narzędzi i ozdób bronzowych, a pale ich wiele są węższe i dłuższe.

Drzewo używane na podstawy do tych budowli, a zatem wbijane pale i pokłady na nich, oraz pomosty, nie było obrobione, ale tylko poucinane i w końcach przywężone. Tu i owdzie na podłogach trafiały się grubsze pnie, klinami na cztery części rozbite. Najwięcéj znajduje się drzewa dębowego, ale używano i drzew innych, jakie były pod ręką w bliskości. Podłogi i pomosty nie były niczém zbijane, ani nawet niepowiązane. Dziur wierconych i gwoździ drewnianych, a tém mniéj żelaznych, nigdzie nie znaleziono. Wciskano pojedyncze pnie pomiędzy pale i nadano im przez to taką spoistość, że odnalezione i bez pali, jeszcze kupy się trzymały.

Pale bywały od kilkunastu do 30 stóp długie, pięć do dziesięciu cali szerokie w przecięciu. Wbijano je w spód jeziora na 5 do 10 stóp głębokości. Liczba tych pali była nieraz bardzo znaczna. W okolicy jeziora Bodeńskiego, pod Wangen, było ich do 40,000. Indziéj obliczano je na sto tysięcy. Wszakże nawodzisk tego obszaru jest mało, a wniosek byłby za porywczy, gdybyśmy z ilości palów wnosili o odpowiedniéj wielkości osady. Naprzód starych i nadpsutych palów zapewne nikt nie wydobywał, ale obok starych nowe wbijano. Powtóre chodzi o oddalenia tych pali od siebie. W przecięciu stały oddalone od siebie od trzech do pięciu stóp. Ale bywały i gęstsze i rzadsze. Gdzie spód wody był skalisty, albo za twardy do wbijania pali, stawiano je w nagromadzone kupy kamieni i żwiru, albo przymocowywano je pokładem drzew na gruncie jeziora głazami i żwirem przyciśnionych.

Nawodne budowle na jeziorze *Garda*, wskazują na późniejszą epokę i na lud wykształceńszy, bo tam już znaleziono ślady żyta, winogron, owoców szlachetniejszych i nasion najrozmaitszych roślin lądowych, wodnych i bagnistych. W muzeum berlińskiém można się napatrzeć na antikaglia rozmaitych epok.

Pod względem powynajdowanych kości zwierzęcych, troskliwe poszukiwania *Rütimejera* (*) z Bazylei, *Hyrtla* z Wiednia, *Blaziusza* z Brunświgu i *Steenstrupa* z Kopenhagi, wskazały najdokładniéj, że krom wołu pierwotnego, który oddawna już wymarł, mieszkańcy owocześni znali większą część naszych zwierząt domowych, a hodując kozy, owce i bydło, znali zapewne użytek masła i sera. Z epoki kamiennéj prawdopodobnie więcéj żyli dziczyzną, bo pozostały szczątki nawet wyginionych już gatunków zwierząt, jak wołu pierwotnego, bawołu, dzika; ale w epoce bronzowéj już karmili się mięsem domowych zwierząt. W tym czasie nie znajdują się już kości lisa, nader powszedniego w perjodzie poprzednim, natomiast pokazuje się pies myśliwy znacznéj wielkości. Kot domowy do najpóźniejszych czasów należy. Zająca w żadnéj epoce nie ma. Widać, że się nim nawodni mieszkańcy brzydzili, jak to bywało w staréj Brytanji, a i dziś jeszcze u Lapończyków. W bronzowéj epoce znikają łosie i bobry, a coraz mniéj pokazuje się śladów niedźwiedzia, jelenia i żółwia lądowego.

Najważniejszém atoli i dotąd nieodgadnioném pytaniem, jest sam cel mieszkań nawodnych. Z jakiego powodu budowali się na wodach z takim trudem i pracą? Czy mieszkali także na lądzie, a jeżeli tam mieszkali, czemu dotąd nie znaleziono szczątków podobnych do antikaglji nawodnych? Latem i wiosną tłomaczą się takie siedliska najeziorne i narzeczne, ale jakiż cel mogły mieć jesienią wśród wichrów ekwinokcialnych, lub zimą wśród zamieci śniegu i zamarzłéj głęboko wody? Oto główne pytania,— a możnaby dołączyć do nich wiele innych podrzędniejszych, nad których rozwiązaniem biedzą się archeologowie. Podamy ważniejsze ich domysły, a w końcu wyłożymy nasze własne widzenie rzeczy.

Pomijamy trywjalne powody stawiania nawodzisk, jakoby to były najbezpieczniejsze miejsca, dla bronienia się od dzikich żarłocznych zwierząt, przeciw którym nie mieli ludzie żadnéj obrony;—następnie, że wody stanowiły po owe odległe epoki jedyne komunikacje pomiędzy ludźmi, a wśród odwiecznych borów, pełnych dzikiego zwierza, nie było dróg żadnych. Łatwo dociec, jak nieugruntowane są takie powody. Bo dla komunikacji po wodach, można się sadowić nad ich brzegami, a niekoniecznie na ich powierzchni. Daléj lud dziki i nieukształcony od młodu, łamiący się z różnego rodzaju niebezpieczeństwami, nie znał obawy przed wilkiem i niedźwiedziem, a równie przed nimi był bezpieczny w chacie lądowéj jak na wodzie, dokąd zimową porą każdy zwierz mógł lodem przechodzić.

Więcéj na uwagę zasługuje zdanie profesora *Karola Vogta*, znakomitego badacza starożytności i pochodzenia rodzaju ludzkiego, któremu mylnie przypisują teorję, jakoby człowiek z małpiego pochodził rodu. Wedle jego zdania, nawodziska nie były mieszkaniami ale śpichlerzami, czyli magazynami pierwotnych mieszkańców tych okolic. Dziś jeszcze, w Skadynawji po nad wyspowemi wyłamiskami Norwegji stawiają śpichrze na polach, do których kupcy zajeżdżają łodziami i ładują. Podobnego celu były starożytne irlandzkie nawodne budowy, zwane krannog, których 46 odnaleziono nowszemi czasy. Były to sztuczne wysepki, stawiane z pni mocnych, w czworogran wbijanych w grunt morski. Wnętrza tych czworogranów zapełnione ziemią, mieszczą w sobie różne przedmioty z epoki kamiennéj, bronzowéj i żelaznéj. Jakkolwiek odmienne, bo nie na palach stawiane, ani na podłogach, ale palami opalisadowane, były jakby skrzyniami do zachowania wszystkiego, co dla mieszkańców miało wartość, a może nawet było przedmiotem handlu przez wymianę. W Szwajcarji na małem jeziorze pod *Jekwyl*, niedaleko Soloturnu, natrafiono na jedyny przykład takiego irlandzkiego krannogu. Wszelako i po zwyczajnych nawodziskach, garnki napełnione różnego rodzaju popalonemi produktami, nasionami, owocami, wskazują na przechowywane w tych miejscach zapasy.

Byćby to mogło. A nie znając społecznych stosunków ówczesnych mieszkańców, nie da się nic, ani za ani przeciw powiedzieć. Atoli w ogólności zapasy powstałe, są zbyt szczupłe, aby można rozumieć że dla ich przechowania takie mozolne i obszerne budowy stawiano. Następnie, zanim pojedyncze magazyny stanęły — pojedyncze małego objęcia chaty — trzeba było bić pale i rozległe na nich kłaść podłogi, a więc trzeba było długiéj roboty gromadnéj całéj osady, aby potem temu i owemu postawienie jednego śpichrza ułatwić. To się nie zdaje prawdopodobném.

Franciszek Maurer, który także pisał o budowlach nawodnych, utrzymuje, że je budowali i na nich osiadali przychodni mieszkańcy, kupcy i rzemieślnicy, w ogóle koloniści, może z Fenicji, Kartaginy, Marsylji, Grecji i Włoch, co w te strony zawędrowali dla handlu i zysku, i aby się ustrzedz od łupiestwa dzikiéj, pierwotnéj tych okolic ludności, budowali się na wodzie. Przemawia za tem, że na nawodziskach jeziora Garda, taka jest obfitość powynajdywanych sprzętów, ozdób i narzędzi bronzowych, taka elegancja ich wyrobu, takie podobieństwo z wyrobami, które napotykamy w Grecji i we Włoszech, że trudno nie przypuścić, aby tu nie była osiadła kolonja kupiecka, co te przedmioty nawiozła, wyrabiała i niemi handel prowadziła. Równie ozdobne i kunsztowne są wyroby żelazne, ponajdywane w La Tène, na jeziorze Neuenburgskiém, a obok nich nie znaleziono ani bronzowych, ani kamiennych przedmiotów. Więc i tu musiała osiąść osada cudzoziemców, co była biegła w kunszcie kowalstwa, ślusarstwa, a może i maszynerji.

Dwa te przytoczone przypadki, rzeczywiście skłaniają do przypuszczenia objaśnień, jakie nam daje pan Maurer. Tymczasem zastosowanie ich do nawodzisk kamiennéj epoki jest trudne. W Szwajcarji jak powiada Karol Vogt, nie ma prawie wody, ani torfowiska które na mokrzadach porosło, gdziebyś nie natrafił na mieszkania palowe. Możnaż przypuścić taką ilość kolonji cudzoziemskich w saméj Szwajcarji? Daléj, jeżeli w późniejszych czasach przybyli z bronzem i żelazem, z czemżeby byli przybyli w epoce kamiennéj? Jeżeli z nauką i religią, to na to się całe osady nie wybierają, ale idzie kilka osób z poświęceniem, a ci sobie takich nawodzisk pewno nie budowali. Jeżeli na jeziorze Garda i na jeziorze Neuenburgskiém były kolonje rzemieślnicze i kupieckie, to i oni nie budowali sobie nawodnych mieszkań, boćby o nich coś w starożytności pisano, a pewnoby i po innych kolonjach z obu stron morza Śródziemnego podobne nawodziska znajdować się musiały. Widać więc, że je obcy osadnicy zajęli, albo je sobie przez mieszkańców miejscowych budować kazali. Przybyli do obyczaju miejscowego i korzystali z niego.

Nam się wydają budowle nawodne mieć charakter i cel religijny. Powody do tego mamy następujące.

Rozciągłość tego rodzaju budowli zdaje się ograniczać pomiędzy morzem Baltyckiém, przez całe Niemcy dzisiejsze, przez Szwajcarję i Włochy północne. Od zachodu sięgają we wschodzie granice dzisiejszéj Francji, od wschodu, nie powiem żeby sięgały po Wisłę, ale zajmowały zachodnią część dawniéj słowiańskich dzielnic Pomorza, Wielkopolski, Morawji, aż ku Triestowi. Cały ten obszar gruntów zajętym może był pierwotnie przez Celtów, może przez pokolenia Fünów, ale zawsze przez ludność, w któréj musiały być rozwinięte uczucia religijne, bo nie natrafiamy nigdzie śladów dzikiego barbarzyństwa, ludożerstwa, ani tak nazwanych Kannibalów. Sądzę, że u tego pogańskiego ludu, we wysokiéj czci musiała być woda, co u ludów północnych, zostających prawie przez pół roku pod naciskiem zimy, śniegów i lodów łatwém jest do pojęcia. Woda, uwolniona

(*) Zobacz jego *Faunę budowli nawodnych*, wydanie Bazylejskie z roku 1861.

z więzów lodu, pokazująca wartki pęd swych przezroczystych nurtów, w których się tak cudnie za dnia promienie słońca łamią, a nocą blask świetnego księżyca i gwiazd licznych odbija;—woda, unosząca na swym grzbiecie łodzie ładowne ludźmi i towarami, dająca komunikacje między odległemi pokoleniami, podnosząca wilgocią swoją wiosenny i letni urok okolicy—woda ta, w której powierzchni świat okoliczny i niebieski się przeglądał, musiała się wydać mieszkańcom północnym wielkiém i cudowném bóstwem, któremu się należała wysoka cześć i poświęcenie. A jedną i drugie sprawowali kapłani. Nie godziło się takiemu bóstwu sprawiać ofiary na lądzie, ale trzeba je było sprawiać na wodzie. Nie uchodziło kapłanom takiego bóstwa mieszkać na ziemi wśród gromad niepoświęconych ludzi, oni powinni służyć bóstwu swojemu na wodzie, a zatém i mieszkać na wodzie.

Otóż całe osady pogańskie, gromadzące się jak rzecz naturalna, siedzibami swojemi po nad wodą, czy jeziorną, czy rzeczną, czy morską, gromadną wspólną pracą obrabiali pnie i grube gałęzie drzewne na pale i kłody; pierwsze wbijali w grunt wody, drugie pokładali na palach a uformowawszy obszerną podłogę na igrzyska i ofiary religijne, stawiali na nich chaty, już jako mieszkania kapłanów, już jako ich magazyny, znosząc im wszystko co im do życia było potrzebném, krom zaś tego ofiary ze zwierząt i roślin dla samego bóstwa.

Kiedy nastąpiła epoka bronzowa, a po niéj żelazna, przyszły w te strony z nową kulturą, nowe wyobrażenia religijne, może fenickie, może etruskie; powstały nowe bóstwa, nowa cześć. Ludy albo ustępowały z miejsc, które nachodzili cudzoziemcy, albo z nową kulturą przyjmowali nową religję. W każdym razie cel budowli nawodnych się zmienił, dawniejsi ich mieszkańcy ustąpili, a nowi przybysze zajęli ich miejsce, uważając takie odosobnienie od mieszkańców okolicznych za stósowne i korzystne dla siebie.

Dopiero gdy dzicz Germańska od Skandynawji ruszyła w te strony i wyparła z nich pierwotnych Celtów czy Fünów, burzyła wszystko ogniem, bo im mieszkania na wodzie nie przypadały do smaku. A resztę puścili z dymem do nieba rozkrzewiciele nauki Chrystusa, jako niegodne pamiątki starożytnego pogaństwa. I oto powód zniszczenia ogniem wszystkich tych zabytków budowli nawodnych.

Nie upieramy się, aby taki był początek i taki koniec wszelakich nawodzisk, bo nie posiadamy żadnego faktu historycznego, którymbyśmy domysły nasze poprzeć mogli; ale taki sposób tłomaczenia najlepiéj jeszcze wyjaśnia te liczne przeddziejowe budowy na wodach, ku czemu trzeba było gromadnéj pracy nadbrzeżnych mieszkańców, dającéj się tylko tłomaczyć wspólnym religijnym interesem.

O południu.

Jak pięknie, jak cudnie!
Jak jasne południe,
Jak słonko wesoło się świeci,
I niebo pogodne,
I chmurki łagodne,
Jak grono bawiących się dzieci.

Pod sercem zbudzona
Piosenka natchniona
Popłynie po falach przezroczy,
I główkę dziewczęcia
Otuli w objęcia,
Skrzydłami anioła otoczy;

I z piersi wywoła
Do tego anioła
Westchnienie głębokie, miłosne,
I duszę jéj zmieni
Na harfę z promieni,
Na tony serdeczne, radosne.

Jak białą lilję,
Gdy źródło odbije
W przejrzystym swéj wody krysztale,
Tak serce jéj z siłą,
Mą piosnkę odbiło,
W śpiewnego natchnienia zapale.

Piosnka wybrana,
Poczuta, poznana,
Powraca i spływa jak rosa,
A chmurki piękniejsze,
A niebo jaśniejsze,
A w duszy méj drugie niebiosa!

Jerzy Laskarys.

WIELOŚĆ
ŚWIATÓW ZAMIESZKIWANYCH.
STUDJUM
W KTÓRÉM ROZTRZĄSAJĄ SIĘ WARUNKI
ZAMIESZKALNOŚCI ZIEM
NIEBIESKICH
ZE STANOWISKA ASTRONOMII, FIZJOLOGII
I FILOZOFII NATURALNÉJ

PRZEZ

Kamilla Flammariona.

DZIEŁO

PRZEJRZANE PRZEZ **Elizę Orzeszkową.**

Chcąc nie chcąc, czytelnicy w dzisiejszéj rozmowie naszéj, musicie wraz ze mną powędrować *ad astra* unieść się myślą w niezmierzone rozłogi przestworza śród których roją się, migocą, błyszczą, te mirjady gwiazd, strojące nasze piękne lipcowe lub mroźne zimowe noce, a z których niejedna, jakkolwiek drobną wydaje się oku ziemskiego mieszkańca, jest ciałem większem od ogromnego słońca, które ziemi naszéj przyświeca tak okazale i świetnie.

Dziełem swem „O ilości światów zamieszkiwanych" znakomity astronom i myśliciel francuzki pragnął udowodnić, że nietylko na drobną kulę ziemską siła twórcza rozsypała nieprzebrane swe skarby, wywołując do bytu tę nieszkończoną rozmaitość istot organicznych i nieorganicznych jaką tu widzimy, ale że w przestrzeni żadną miarą przystępną umysłowi ludzkiemu niezmierzonéj, znajduje się żadną człowiekowi znaną cyfrą nieokreślona mnogość światów, równem lub stokroć bogatszem obdarzonych życiem.

Hardy umysł człowieka, rozzuchwalony swem wielmożnem na téj ziemi królowaniem, dumnie opiera się mniemaniu, jakoby kędyś w przestrzeni, na innych nieznanych, niedojrzanych lub zaledwie dojrzanych światach, mogły istnieć podobne cuda jak te, któremi on widzi się okrążonym, i aby podobne jemu samemu lub wyższe jeszcze odeń organizacje istniały. Bałamutne. doktryny dawnych wieków nie wsparte światłem nauki i zamykające wszechświat w ciasnych ramach egoistycznych człowieczych poglądów, mówiły mu: że wszystko co dzieje się i żyje na niebie i ziemi, dzieje się i żyje ku chwale i pożytkowi człowieka, że nietylko to, co ziemia wydaje lub nosi w swem wnętrzu, zwierzęta, rośliny, kruszce, lecz nawet olbrzymie ciała niebieskie, słońce, księżyc i gwiazdy stworzone są dla dogodzenia potrzebom jego lub zachciankom. (*) Wszakże nauki przyrodnicze dawno już osłabiły u ogółu wiarę, w tę arbitralną zależność wszechrzeczy od natury człowieka i jego potrzeb; mianowicie astronomija odkrywając przed ludzkością coraz szersze i bardziéj nieograniczone przestrzenie, a w nich z niepojętą rozsiane hojnością coraz liczniejsze ciała zdumiewające ogromem i liczbą, wlała we wszystkie oświecone umysły to przekonanie, że nietylko człowiek, ale cała kula ziemska, która człowiekowi w stosunku do jego własnéj małości tak wielką być się zdaje, jest tem w porównaniu do olbrzymiego Wszechświata, czem ziarnko piasku porównane z nią samą.

Dzieło więc Flammariona, lubo stanowi z pewnéj strony popularny traktat o astronomji, i może czytającemu pobieżne dać pojęcie o téj wielkiéj nauce, nie położyło sobie za cel wykazania dobrze już i tak dowiedzionego znaczenia kuli ziemskiéj we wszechświecie, ale posuwa się daléj i pragnie przekonać kuli téj mieszkańców, że nie oni jedni używają przywilejów użyczonych istotom doskonalszéj organizacji, że nie na jedną ziemię natura zlała hojność swych darów, że ciała tak ogromne i tak licznie wiszące w przestworzu, nie są martwemi bryłami—ale że życie, myśl wyższa będąca najświetniejszym wykwitem organizmów, wzrost, postęp, upadek, zamieranie i ze śmierci nowe tworzące się życie, są wszędzie albo były albo będą jeszcze—a martwéj jałowości, pustki, absolutnéj śmierci i ciszy, nie ma na żadnem miejscu bezgranicznego państwa Natury.

Śmiałą tę i piękną lubo nie nową hypotezę, popiera Flammarion historycznemi świadectwami ludzi wszystkich wieków, którzy wyznawali jego opinię, uzasadnia na faktach i cyfrach poczerpniętych z astronomji i fizjologji, i nakoniec ostatecznie je rozstrzyga filozoficznemi wywodami. Ztąd dzieło jego rozpada się na trzy wyraźne części: z których pierwsza historyczna, objęta jest pierwszym rozdziałem dzieła czyli księgą noszącą tytuł: *Badania historyczne*, druga naukowa, mieści się w trzech księgach następnych, których tytuły są: *Światy planetarne, Fizjologija istot, Niebiosa*; trzecia filozoficzna, zajmuje piątą i ostatnią księgę utytułowaną *Ludzkość we wszechświecie*.

Badania historyczne mają na celu wykazać, że teorja o wielości światów zamieszkiwanych, to jest mniemanie, iż nie na jednéj ziemi znajdują się ożywione istoty a nawet podobni do nas ludzie, jest wielce starożytną i od początku historji ludzkości była popieraną, to przeczuciami i bezwiedną wiarą ciemnych jeszcze zupełnie ludów, to bardziéj już na nauce opartemi świadectwami wielu najmędrszych mężów wszystkich wieków. I tak naprzykład starożytni Celtowie i Druidowie, których dzieje całkiem prawie zginęły w pomroce zbyt odległéj

(*) Mniemanie to ze zwykłym sobie dowcipem i śmiesznością okrył genijalny a sarkastyczny poeta niemiecki H. Heine. W swoich „Obrazach z podróży" (Reisebilder) opisuje, że spotkawszy się z pewnym człowiekiem gorliwie wierzącym, iż wszystko dla użytku i przyjemności człowieka jest stworzonem, odpowiedział z udanem przejęciem się i namaszczeniem „tak—wół stworzony jest dla tego, aby człowiek spożywał smaczny sporządzony zeń bulijon, a osioł dla tego, aby człowiek nie był do niego podobnym."

przeszłości, zostawili przecie ślady wiary swéj w wędrówkę dusz na słońce, księżyc i inne ciała niebieskie, kędy przeniesione dusze te miały podobny ziemskiemu znajdować pobyt. Następnie mądry Egipt, pierwsza kolebka nauk i filozofji, podobnąż w egzystencję organicznego na innych planetach życia wyznawał wiarę. Nakoniec najsławniejsi mędrcy Grecji i Rzymu, jak Xenofones, Epikur, Lukrecjusz, Plutarch, Laktancjusz i wielu innych, téż samą choć w rozmaite formy i rozmiary objętą podzielali opinję. W średnich wiekach Jordanus Bruno filozof, spalony został w Rzymie za swe filozoficzne idee, a mianowicie za ogłoszoną doktrynę o nieskończonéj liczbie światów zamieszkiwanych. Galileusz zapytywał publicznie: „czyli znajdują się na innych światach istoty nam podobne"? Wilkim napisał traktat *o księżycu zamieszkałym*. Cyrano de Bergerac, Fontenelle, Bayle, Burnet, Walter, Buffon, Lambert, Marmontel, Lawater, Diderot, Kant, Gethe, Laplace, Joung, Fontanay i wielu innych filozofów, naturalistów i poetów średnich i nowych wieków, popierali teorję zamieszkalności planet, to dowodami czerpanemi z filozofji i znajomości natury, to unoszeniem się w nieskończoną przestrzeń na skrzydłach wyobraźni, i gorącą fantazją malowanemi obrazami tych światów odległych, do których oko ludzkie zajrzeć nie może.

(d. c. n.)

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

(Dokończenie.)

Pana Ruśkiewicza znajdują się nowe dwa widoki: jeden *Z nad brzegów Liwa*, drugi nazwany *Przystankiem w lesie*. Oba zalecają się sumienną starannością wykończenia,—pierwszy jednak z nad Liwa więcéj ożywiony, bardziéj też przyciąga ku sobie. Wpośród nadbrzeża lasu wije się publiczna droga; na pierwszym planie widać Liw, a na moście mieszczącym się na nim, siedzi wieśniak z zanurzoną wędką w wodzie. Po drugiéj stronie drogi stoi chata o dwóch oknach i drzwiach wchodowych, pokrzywiona, przygarbiona, z dachem jak rzeszoto podziurawionym, słowem przerażająca pustka świadcząca zarówno o nędzy jak i niedbalstwie jéj mieszkańców. Daléj cokolwiek, widać brykę furmańską w trzy konie zaprzeżoną, które korzystając z chwilowego wypoczynku, skulone marzą zapewne o tak upragnionym przez nie obroku. W głębi. przez rzadko już stojące drzewa, przegląda widok dalszéj okolicy oświetlonéj pogodą nieba, które za chwilę ma przyciemnić wysuwająca się z boku groźna chmura.

W całym tym widoku, perspektywa bardzo dobrze zachowana, drzewa, krzaki odosobnione nie łączą się z tłem obrazu, konie z bryką wybornie oddane, tylko woda w Liwie za nadto spokojna,—mchowa murawa lasu nie ma wykończenia należytego, jak o to zwykle stara się pan Ruśkiewicz, i w barwie drzew i roślinności brak lekkości, owego powiewnego nieładu zwykle cechującego przyrodę.

Drugi widok nazwany Przystankiem w lesie, zdaje się być lepiéj wykończonym. Po nad rzeką wznosi się wzgórze z wijącą się po niem drogą; zdala widać budynek zapewne karczemny, nadający nazwę całéj okolicy.

Ogólnie uważając, prace wszystkie pana Ruśkiewicza, a więc i obecnie przez nas opisane, odznaczają się jednym charakterem pewnego smutku, jaki mimowoli przejmuje patrzącego. Ogląda się je zawsze z wielką przyjemnością, i smuci zarazem jakąś dziwną nieopisaną tęsknotą. Przemawia to bardzo pochlebnie za talentem artysty, ale radzibyśmy zobaczyć choć jeden obraz wyszły z pod jego ręki, uśmiechający się pracą, porządkiem, dostatkiem i tem pociągającem ożywieniem, jakiego nigdy pustka, zniszczenie, niedbalstwo dostarczyć nie potrafią. Niechby pan Ruśkiewicz spróbował raz chociaż coś podobnego odmalować, aby przyszłe pokolenie nabrało przekonania, że w naszym biednym kraju, nie wszystkie dachy są obdarte i podziurawione, nie wszystkie chaty pokrzywione i walące się, i nie wszystkie pola rodzą sam chwast i pokrzywy.

Krajobraz finlandzki pana Breslauera, odznacza się wszystkiemi przymiotami tego utalentowanego artysty, lekkość, przezroczystość, powiewność widnieją tu w każdym szczególe, brak tylko ożywienia, jaki zwykle nadają ludzie traktowani podrzędnie, jako do datek małéj wagi.

Polowanie na wytropionego, pana Szwojnickiego, nie jest obrazkiem bez pewnych zalet, ale zdradza, o ile się nam zdaje, początkującego artystę, który przy pracy talent swój jaki posiada, bez zaprzeczenia potrafi podnieść i uwydatnić. Pomiędzy niskiemi krzaczynami rozsypanemi po małych pagórkach osnutych szczelnie śniegiem, stoi dwóch myśliwych stosownie przybranych i coś rozprawiają z sobą. Daléj cokolwiek, dwóch drugich z dubeltówkami pod pachą, posuwa się szukając upragnionego zająca, który wciśnięty w śnieżną kotlinę, nie domyśla się zapewne jakie mu zagraża niebezpieczeństwo. Treść, jak widzimy, nie bardzo bogata, nie może widza zbytecznie zająć, a rozmiar obrazka za mały, nie dozwalał nawet przedstawić artyście widoku okolicy, coby na podniesienie jego wartości wiele wpłynęło. Myśliwi są tu wszystkiem,— będąc więc główną częścią pracy, wymagali koniecznie jakiejś wybitniejszéj cechy, któréj zupełnie pozbawieni, żadnego nie obudzają interesu. Śnieg stanowiący przedmiot równie ważny jak myśliwi, jest wprawdzie biały, ale nic więcéj; nie ma puszystości właściwéj sobie ani łamania się światła, które stosownie do kierunku każdego miejsca inną mu nadaje barwę. Najlepiej tu oddane zostało powietrze, ciężkie, mgliste, po którem zwykle śnieg znowu sypać zaczyna.

Różne wiadomości.

Echa życia społecznego w Cesarstwie.

Zimowy sezon opery włoskiéj w Petersburgu, w r. b. był nadzwyczajnie świetny. Miejscowy Zarząd Teatrów zakontraktował najznakomitsze talenta wokalne do swego składu, a oprócz tego zatrzymywało się w przejeździe kilku niepospolitych włoskich śpiewaków, którzy koncertami swemi prawdziwą furorę robili. Ścisk na nie ochotników był tak wielki, że biletów trudno się było doprosić, a w dniu wejścia płacono za nie trzy i cztery razy wyżéj nad nominalną wartość. Dziwić to nie powinno, jeżeli zwrócimy uwagę, że w każdym z nich występowała Patti, jak się wyrażają w kółkach stolicy, *ten wdzięczny słowik włoskiego nieba*. Na jednym z koncertów wywołała tak silne wrażenie, że sypanie oklasków i bukietów przez dziesięć minut bezustannie trwało, trzęsły się ściany teatru; znakomita artystka stała niema pod gradem tych uwielbień, a łzy rozrzewnienia rosiły jéj oczy.

W czasie jéj bytności w Petersburgu, jedna miejscowa gazeta rzuciła myśl, aby znaną operę Moniuszki *Halkę* wystawić na włoskiéj scenie, a rolę tytułową oddać Adelinie Patti. Propozycja ta czas jakiś krążyła z ust do ust. Popierano ją usilnie, zwłaszcza że wiadomo, jak dzieło to naszego maestra spodobało się publiczności. Wszystko wówczas co żyło biegło do Teatru; uroczy śpiew „Szumią jodły" brzmiał we wszystkich uszach, a charakterystyczny mazur dopełniał uwielbienia. Otóż chciano się przekonać, jak wyjdzie rola ta w osobie Patti. Było już bliskiem wykonanie zamiaru, wzięto się już bowiem do przekładu libretta, gdy nagle niewiadomo z jakich przyczyn, oparł się wykonaniu projektu miejscowy włoski impressario.

Karnawał w roku bieżącym w Petersburgu był bardzo świetny. Bale publiczne i prywatne nie miały końca, i bawiono się doskonale. Gazety donosiły, iż tak wielkie było zapotrzebowanie grających po wieczorach publicznych i prywatnych, iż wydzierano ich sobie literalnie. O jednym balu u hr. B. piszą, iż wypotrzebowano na nim około 600 butelek wina francuzkiego. Przyznać jednakże trzeba, iż jeżeli karnawał był suty i hałaśliwy, to post publiczność petersburgska poświęca pracy i nauce. Okna wystawy znaczniejszych księgarzy roją się od stosu książek, które setkami rozchodzą się po mieście. Co więcéj, organizuje się w Petersburgu pewien rodzaj propagandy książkowéj, mającéj na celu rozdawanie bezpłatnie książek naukowéj treści i ludowych. Niedawnemi czasy zakupiono i rozesłano po szkółkach ludowych za 9.000 rs. tych ostatnich, która to summa miała powstać ze składek.

Zapowiadają także w mieście, szereg odczytów publicznych na cele dobroczynne lub prywatne. Prelekcjom tym, rok rocznie dostarczają znaczny kontyngens professorowie Uniwersytetu, między którymi ogólniejszem uznaniem cieszą się pp. Tagancew i Andrejewski autor świeżo wyszłéj książki „Policyjne prawo".

Z zaprowadzeniem w Rossji reform w sądownictwie, do najintratniejszych posad należą posady obrońców. Odznaczający się pomiędzy nimi, mają do 15,000 rs. i więcéj rocznego dochodu. Przed niedawnemi czasy, jeden z Petersburgskich adwokatów, za jedną tylko sprawę wziął honorarjum 2,000 rs. Wprawdzie przedmiot kwestją sporną będący, miał wartość przeszło miljon złotych.

Z nowych książek, wielkie budzi zajęcie dzieło księcia Wasilczykowa p. t. „O samorządzie", niemniéj osobiste notaty znakomitego miejscowego obrońcy p. Spasowicza, a przytem dwie przełożone z polskiego powieści.. "Dzieci wieku" Kraszewskiego i „Uskoki" Jeża. Podobnie jak w Warszawie, wychodzą obecnie w Petersburgu zupełne wydania dzieł znaczniejszych pisarzy, a najświeższy kompilacyjny utwór "Poezje Słowian", w którym poeci polscy blisko trzecią część książki zajmują, krytykowany jest przez wszystkie niemal większe pisma.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

I.

Któryż z powieściopisarzy nie doświadczył tego, że w pierwszem, lepszém towarzystwie ułapił go jakiś jegomość za połę i protekcyjnym rzekł głosem:

— Gdybyś to kiedy mój panie w moje strony przyjechał, miałbyś podostatkiem materjału do powieści! Ja sam opowiedziałbym ci różne historyjki, które ubrawszy w styl kwiecisty, mógłbyś w książce wydrukować!

Daremnie uśmiecha się autor z politowaniem, jegomość bierze ten uśmiech za radość i prawi daléj:

— Zaraz w sąsiedztwie mojém jest doskonały typ do powieści!. Baba herod. co się zowie! Trzy razy bije męża na dzień.., a mąż—

— Ależ, mój dobrodzieju! protestuje autor.

— Mam inną, woła jegomość dobrodziéj. Pani X. to jakby stworzona na model dla pisarza! Dwóch mężów zagryzła, a pięciu huzarów pojedynkowało się o nią!

Autor ziewa.

— I czegóż więcéj chcesz? krzyczy z indygnacji jegomość, dodam ci do tego kilku szulerów, trzech pijaków, dwóch palestrantów... i powieść gotowa!

Daremnie stara się autor dać szanownemu dobrodziejowi literatury jakie takie wyobrażenie o pisaniu powieści, daremnie napomyka nieśmiało o pewnych regułach estetyki, o potrzebie badań psychologicznych, kształtach architektury, a wreszcie o konieczności jakiejś myśli czy to filozoficznéj, czy społecznéj!.. Napróżno także rozwodzi się przed nim, że powieść nie jest przylepieniem pierwszéj lepszéj wyciętéj figurki na parawan, nie powtórzeniem jakiegoś banalnego skandaliku, lub opisaniem rzeczy nader powszednich — ale jest dziełem sztuki, jest obrazem artystycznie pojętym i oddanym!

— Ba panie! odpowiada na to łaskawy mecenas literacki, to będzie zawsze zmyślenie, a ja podaję panu fakta za które ręczę słowem honoru!

— Fakta w powieści są rzeczą zbyt podrzędną!

— Ale moje fakta są prawdą!

— Nie każda prawda jest prawdopodobną, mój dobrodzieju—otóż w tém cały sęk!. A co jeszcze gorsza, nie każda prawda nadaje się do dzieła sztuki!

Mecenas literacki odchodzi zagniewany!

Właśnie w takiem samem położeniu byłem na jednym wieczorku u znajomych. Jakiś łaskawca o pyzatych policzkach, prześladował mnie od kilku godzin różnemi historyjkami z sąsiedztwa, które mi za materjał do powieści podawał.

Opowiadanie tych banalnych historyjek sprawiło na mnie jakieś wrażenie odurzające. Siedziałem z rezygnacją godną lepszéj sprawy.

Spostrzegła to uważna gospodyni i przyszła na odsiecz.

— Pan Maciéj, rzekła głosem, w którym była pogoda i szczęście, opowiada panu zapewne o ostatniém polowaniu z chartami, które w piaskach brać nie chciały!

— Gdzie tam! odpowiedziałem z westchnieniem, gdyby to tylko polowanie było!... Pan Maciej jest tak dobrym, że daje mi z swego sąsiedztwa różne temata — do powieści.

— Pan żartujesz!..... Panie Macieju obgadują pana!

— Nie wiem co pan chcesz tem powiedzieć, odparł z urażoną ambicją pan Maciéj.

— Chcę to powiedzieć, odparła z uśmiechem gospodyni, że możesz pan na tysiąc kroków ujrzeć zająca lub lisa, ale.... ale... daruj mi panie Macieju...

— Mów pani daléj... mów pani.

— Ale na ludzi trzeba umieć patrzeć!

— Jakto? Ja nie umiem patrzeć?

— Tak... nie przeczę temu... ale są rzeczy tak subtelne, które jednak w życiu tak ważną rolę odgrywają..

Gdy piękna gospodyni te słowa wymawiała, zwróciła na mnie piękne szeroko otwarte oczy. Było w tych oczach szczęście, były rozkosze życia.

W téj chwili odwołano ją do nowo przybyłych gości. Z twarzą ożywioną, z jakąś śpiewką na wpół urwaną pobiegła ku drzwiom salonu.

Zbity nieco z konceptu pan Maciéj patrzał chwilę za nią, pokiwał głową i rzekł:

— Nie znam próżniejszych istot nad piękne, młode, szczęśliwe i powszechnie adorowane kobiety! Chciały by tylko sobą cały świat zajmować! Zazdrość ją brała, żem panu podawał temata do powieści tyczące się innych kobiet. Onaby chciala, abyś pan o niéj co napisał! Próżność, mój panie, próżność i nic więcéj!

— Na pocieszenie pana mogę powiedzieć, że i ona nie może być przedmiotem do powieści. Jest poprostu kobietą piękną, szczęśliwą w pożyciu małżeńskiém, otoczoną od męża wszelkiemi wygodami życia—przytem rozsądną, wykształconą.

— Słusznie pan mówisz, pochwycił pan Maciéj za słowo, kobieta piękna, szczęśliwa, kochana od męża jaką jest pani Albina, jakiż to mizerny model do powieści? Cóż to może rozciekawić czytelnika? Czy jest nędza nieodłączna od zbrodni? Czy są schadzki miłosne i pojedynki? Czy jest sztylet i trucizna, intryga i niespodzianka?.. Nie, mój panie! Kobiety jak pani Albina to nie dla książki! Wszystko jest w nich, ale wszystkiego jest tylko po trosze. Regularnie piją herbatę zmieniają suknie, dają rauty, chodzą do kościoła i teatru. Cóż z tego wszystkiego wycisnąć, aby włosy do góry czytelnikowi stawały?

— W tym względzie zgadzam się zupełnie z panem, odpowiedziałem żartobliwie, a mianowicie co do pani Albiny. Może ona być obrazem cichego, niczém niezamąconego szczęścia, ale dla autora jest tém czém dla malarza gładka powierzchnia morza! któż ją maluje, chcąc morze przedstawić?

—Tak, masz pan słuszność, przerwał jegomość bawiąc się brylokami, jeśli kiedykolwiek o morzu myślę, to wyobrażam sobie zawsze wzburzone bałwany, sterczące skały, okręt osadzony na mieliźnie z podartemi żaglami i majtków pływających na deskach!

Pan Maciéj ucieszył się widocznie, bo zdawało mu się że sprawę wygrał. Chcąc jego radość nieco umoderować, ozwałem się po niejakiéj chwili:

— Rozmaite są gusta. Jeżeli pan dobrodziéj aż takich przyborów potrzebujesz, aby sobie morze wyobrazić, to ja w tym względzie inne mam o morzu wyobrażenia. Nie lubię go w chwilach namiętnych, ale lubię przez spokojną szybę wód zaglądać w jego wnętrze, podziwiać skarby i potwory, które tam ukryte leżą!...

— Więc pan lubisz... *aquarium!* To co innego!

Rzekłszy to, wstał z krzesła, bo właśnie przyniesiono kieliszki z winem.

II.

Podczas gdy gadatliwy mój towarzysz winem się zabawiał, cofnąłem się z krzesłem do framugi okna, aby tam trochę wypocząć i całemu towarzystwu bliżéj się przypatrzeć.

W towarzystwie tém najpierwéj pociągała oczy do siebie gospodyni domu, pani Albina. Była to szatynka, średniego wzrostu, z dużemi czarnemi oczami. Twarz jéj nie była piękna w ścisłém znaczeniu tego słowa, ale było w niéj tyle uroku, tyle jakiegoś niewypowiedzianego powabu, że można było na nią z równém upodobaniem patrzeć całemi godzinami. Mianowicie usta pełne i różowe, drżały ustawicznie pewném radośném wzruszeniem. W czarnych oczach grało ciągłe zachwycenie, które mimowolnie udzielało się patrzącym w nie.... a głos jéj miał tak dziwną wibrację, jaką tylko odezwać się może struna gitary lub teorbanu.

A wszystko to mogło być tylko skutkiem szczęścia w najszerszém znaczeniu tego słowa!...

Odbierzmy bowiem téj kobiecie jéj szczęście, a czém będzie?..

Gdyby przypadek urodzenia zamiast w tym salonie umieścił ją był na poddaszu, a do rąk jéj zamiast wachlarzyka z kości słoniowéj wcisnął igłę biednéj szwaczki?..

Czyż wtedy te oczy skąpane nieraz we łzach miały-by tyle blasku uroczego? Czyż ten głos piersi nad robotą zgięty, miałby tę pełność tonu i dźwięk struny gitarowéj? Czyż ta cała układna postać nie połamałyby się pod ciężarem nędzy, pracy i ubóstwa?...

Ale pani Albina była szczęśliwa, miała dom dostatni, męża, który ją otaczał wszelkiemi wygodami życia!...

W takich warunkach życia można być piękną, można patrzeć na świat pałającemi oczami, mieć głos podobny do gitary lub teorbanu!...

Swoboda towarzyska, zadowolenie z tego czém jesteśmy i co nas otacza wpływa nadzwyczaj wiele na naszą postać zewnętrzną, a nawet potęguje niejako nasze przymioty duchowe..

Tak sobie dumałem we framudze okna, patrząc na piękną gospodynię domu, która wszędzie, gdzie tylko się pojawiła, rozlewała w około siebie jakieś dziwne światło radości i zadowolenia. Rozmowa jéj ożywiała wszystkich i zdradzała umysł wysoko i pięknie wykształcony.

W gronie mężczyzn niemniéj odznaczał się także jéj mąż, pan Karol. Był to brunet, wzrostu słusznego. Twarz jego męzkiéj piękności wyrażała niepospolity stopień intelligencji i wykształcenia. Mógł liczyć lat trzydzieści kilka. Gdy stanął obok pani Albiny, trudno było sobie wyobrazić dobrańszéj pary. Zdawało się, że byli dla siebie jakby stworzeni.

Mimo to, nie wiem jakiém prawem to się stało,

zwyczaj to powszechny nazywał wieczorki u państwa Karolów, wieczorkami pani Albiny.

Wprawdzie często się wydarza, że opinja publiczna nadaje palmę pierwszeństwa gospodyni domu tam, gdzie mąż jest zerem, albo w każdym razie mniejszą liczbą od żony. Tutaj zaś nie było tego przypadku. Pan Karol był sam dla siebie na swojém stanowisku pewną powagą domową. Nie wszedł on bynajmniéj do posagu żony, bo sam miał jeżeli nie większy to przynajmniéj taki sam majątek co żona.

Jakim sposobem uświęciła opinja publiczna tę uzurpacją domową, trudno odgadnąć.

Pani Albina nie pisała żadnych książek, koncertów publicznych na cele dobroczynne nie dawała, ani nawet nie kusiła się zostać lwicą towarzystwa zachowaniem się excentryczném—mimo to, pan Karol został mężem pani Albiny, a wieczorki w domu jego zwały się wieczorkami u pani Albiny!

Reszta towarzystwa dzisiejszego wieczoru nie przedstawiała wiele rozmaitości. Wszystko tam było na pozór według jednego kroju mody. Takiż sam krój miała i konwersacja. W tym względzie mógłbym nawet niektóre damy posądzić o liczne plagiaty ze znanéj książki „*grande monde*" któréj nieszczęśliwa autorka tak długo była tarczą najrozmaitszych dziennikarskich dowcipów.

Zdwało mi się, że jeszcze ktoś przyjdzie, który dzisiejsze towarzystwo choć trochę urozmaici.

W téj chwili jakiegoś tajemniczego wyczekiwania zaszeleściała koło mnie jedwabna suknia, a wdzięczna postać pani Abiny przesunęła się przed memi oczyma jak piękne, senne widmo.

Weszła do ostatniego pokoju, oświeconego słabém błękitnawém światłem.

Na progu spotkała się z mężem.

Pan Karol z widocznem upodobaniem spojrzał na żonę. Wziął ją za rękę i rzekł półgłosem:

— Albino, czy jesteś zadowolona dzisiaj?

Albina cofnęła się za próg, aby od znajdujących się w salonie widzianą nie była, oparła na ramieniu męża drobne rączki swoje i stanęła na palcach z twarzą do góry podniesioną...

Pan Karol uzupełnił niemą odpowiedź żony.

— Idziesz z przedpokoju, szepnęła szczęśliwa kobieta, słyszałem dzwonek, ktoś przyszedł...

Pan Karol zdawał się być tak szczęśliwym w uścisku żony, tak żywo płonęło jego oko, z takim zapałem całował różowe paluszki, że kilka chwil upłynęło, zanim mógł na to pytanie żonie odpowiedzieć.

Z ożywioném okiem, z pogodą szczęścia na twarzy wyczekiwała pani Albina téj odpowiedzi. Zdaje się nawet, że to wyczekiwanie było dla niéj wielką rozkoszą, którą chciałaby przeciągnąć jak najdłużéj!...

— Zdaje mi się, powoli ciągnął pan Karol, zdaje mi się, że panna Aspazja...

W téj chwili zrobił się szmer w salonie. Albina wychyliła się w tył, aby przez pół otwarte drzwi zaglądnąć. Ręce jéj powoli zsunęły się z ramion męża, a na jéj niedawno tak ożywionéj twarzy osiadł nagle spokój...

— Czyś nie rada mieć więcéj gości? zapytał z lekką chmurką na czole pan Karol, podnosząc na powrót drobne rączki na swoje ramiona.

— I owszem! odpowiedziała ożywiając twarz Albina, tylko ta Aspazja sprawia na mnie zawsze dziwne wrażenie....

— Jak każda stara panna! dodał pan Karol z żartobliwym uśmiechem.

— Nie, w niéj jest coś więcéj, niżeli starość! Mnie zaraz przy niéj robi się zimno! Czy widziałeś ty jéj oczy?

Na dalszą rozmowę nie było czasu.

Albina zsunęła po raz drugi swoje piękne rączki z ramion męża i odeszła, aby nowych gości powitać.

Przechodziła koło mnie z twarzą pogodną i wesołą.

Zazdrościłem téj kobiecie jéj szczęścia, bo każdy krok okazywał że jest szczęśliwą!

III.

Po chwilowym szmerze, sprawionym przez przyjęcie nowych gości, nastąpiła głucha, niemiła pauza. Wszystkich oczy zwróciły się ku przybyłym.

Najprzód pojawiła się sędziwa dama w sukni mocno szeleszczącéj, o bladéj, zapadłéj twarzy.

Nazywano ją powszechnie Aspazją. Dla czego? trudno odgadnąć. Żadnych bowiem nie było powodów, któreby mogły jéj przekazać w spadkobierstwie imię greckiéj bohaterki, prócz tego że lubiła męzkie towarzystwo.

Aspazja miała lat blisko siedmdziesiąt i należała do jednéj z najstarożytniejszych rodzin polskich. Gdyby kto jéj nazwiska nie znał, poznałby po całéj jéj postaci, po jéj chodzie tragicznym i po tém niezrównaném mrużeniu oczu, skoro ktoś wydawał się jéj zbyt maluczkim z urodzenia lub pozycji—że dama ta ma długi szereg antenatów z buzdyganami i na krzesłach senatorskich!

Prócz téj dumy rodowéj, nie wiele dostało się jéj w udziale ze wszystkich przymiotów kobiecych. Rysy miała ostre, jak łuki wieży gotyckiéj, twarz pożółkłą, usta wązkie i nader szeroko rozcięte. W zielonkowatych oczach było coś dziwnie zimnego. Najzapaleńszy entuzjasta mógłby ostygnąć pod takim wzrokiem, a nawet w bryłę lodu się zamienić. Usta jéj były zawsze złożone do satyry, a gdy się otworzyły, słychać z nich było pewny syk podobny do syku gadziny.

Mimo tak anti-towarzyskich przymiotów lubiła Aspazja bywać po wszystkich zebraniach, a nawet zdawało się, że ją to cieszy, iż ludzie mimowolnie na jéj widok drętwieją....

Widok Aspazji sprawił tem większe wrażenie, że ubiorem swoim i manierami, różniła się zupełnie od dzisiejszych kobiet.

Przypominała całą postawą swoją, owe sztychowane portrety z czasów Ludwika XIV. Włosy w nieładzie najeżone i pogmatwane pięły się do góry! zkąd znowu jak z ukrytego węzła spadały w rozrzuconych puklach po chudych ramionach. Szyja i znaczna część gorsu była odsłonioną, jakby dla odstraszającego przykładu, że wszystko na świecie jest zmienne, tak młodość jak i uroda! Wprawdzie szeroko pozaginane szlarki i żaboty miały tę smutną centencję Salomona okrywać sztucznem półcieniem, ale jakoś nie wypełniały dobrze swego przeznaczenia. Dodajmy do tego suknię z żółtego atłasu, rękawiczki *à la Marie Stuart* i zabijającą woń paczuli zmieszanéj z piżmem, a będziemy mieli całą postać tak zwanéj panny Aspazji.

Są ludzie, którzy wiele zalet w niéj widzą. Mówią nawet, że to była niegdyś wcale ładna osoba, ale czas i dziwne wypadki życia wycisnęły na niéj to dziwne piętno nieprzebłaganéj nienawiści do świata i ludzi. Pod tym względem była ona istną doskonałością.

Z drugiéj strony opowiadano znowu tyle pięknych prawdziwie wyrafinowanéj szlachetności czynów, że można słusznie przypuszczać, iż kiedyś przy tak pięknéj duszy i ciało to wyglądało inaczéj.

Dzisiaj zaś tego piękna trudno się było tam dopatrzeć. Zgięta we dwoje, z ukośnemi oczyma, wyglądała zaprawdę jak gad pełzający.

Gdy się w salonie pojawiła, stała się jakaś dziwna, niespokojna pauza. Na każdéj twarzy widać było jakieś niemiłe wrażenie. Zdawało się, że z otwartych drzwi przedpokoju zawiał do salonu zimny prąd powietrza i nagle wszystkich ostudził!..

Aspazja zatrzymała się na środku salonu, jakby się tam wrażeniem napoić chciała. Obróciła z przykrym uśmiechem małą główkę do koła i z pewną rozkoszą przymrużyła oczy....

Oczy te przedewszystkiem zdawały się szukać dwojga ludzi.... Albiny i jéj męża.

Jakoż wkrótce miały ich przed sobą.

Albina z wypogodzoną twarzą, z uśmiechem szczęścia w dużych ożywionych oczach, stanęła przed nią i wyciągnęła drobną rączkę....

Pan Karol podszedł także ku niéj i czekał na stosowną chwilę przywitania się ..

W téj chwili usłyszała Aspazja szeleszczącą suknię postępującéj za nią towarzyszki, która teraz weszła do salonu.... i ukośne oczy swoje z nadzwyczajną uwagą wlepiła najprzód w Albinę, a potem w pana Karola.

Młode małżeństwo wytrzymało mężnie ten wzrok badający. Na wązkie usta Aspazji wystąpił uśmiech szyderczy.

Nie można było dłużéj przywitania odwlekać, bo postępująca za Aspazją towarzyszka domagała się także tego prawa.

Była to młoda zaledwie dwudziestoletnia kobieta uderzającéj choć nieco oryginalnéj piękności.

Twarz miała ciemną jak kreolka. Z pod czarnych brwi tryskały dwa płomyki ognia. Nosek lekko zadarty i dołem rozszerzony, okazywał temperament namiętny. Usta duże, pełne, a prawie zawsze spalone, nie domykały się jak kielich kwiatu spragnionego.

Za nią postępował mężczyzna już sporo podżyły, przymuskując na głowie mocno przerzedzone włosy.

Jak widok Aspazji sprawił w całem zgromadzeniu jakieś lodowate wrażenie, tak widok postępującéj za nią kreolki z palącemi oczyma, odżywił nieco zamarzłe duchy.

Po przywitaniu nowych gości wszyscy odetchnęli swobodniéj.

Albina chciała przybyłych zaraz na wstępie otoczyć całym czarem serdecznego przyjęcia. Wypytywała się o różne drobnostki z takiem szczerem zajęciem, jakby jéj Bóg wie wiele na tem zależało. Czyniła najdrobniejsze posługi, przynosiła i odnosiła chustki i chusteczki, jakby się gośćmi swemi najserdeczniéj pieściła.

I pan Karol nie pozostał w tyle za swoją uprzejmą żoną. Dowiadywał się o drogę, o powietrze, zawołał lokaja z herbatą i cukrami—sam podawał filiżanki, pomagał do równowagi....

— Przedstawię pana naszéj przyjaciółce, rzekła do mnie Albina biorąc mnie za rękę i prowadząc wprost do panny Aspazji.

Pannę Aspazję znałem już z towarzstwa a nawet byłem jéj przedstawiany. Zaniedbałem jednak jakoś korzystać z téj znajomości.

Kiedy więc piękna gospodyni nagle moje nazwisko wymówiła, byłem trochę zakłopotany i rzekłem:

— Już miałem ten zaszczyt.....

Aspazja obeszła mnie zimnemi oczyma i odparła:

— Nie przypominam sobie!

Była to niejako kara za moją niegrzeczność. Pochyliłem głowę i przyjąłem z uległością wymiar kary. Zacząłem coś mówić o nieprzewidzianych przeszkodach, o nadzwyczajnych wypadkach, które pozbawiły mnie tego szczęścia.... i t. d.

Panna Aspazja z groźnym marsem na czole, słuchała pierwszych słów mego uniewinienia się. Powoli zaczęła rozchodzić się ta groźna chmura i wkrótce zajaśniała niepraktykowana nawet pogoda. Po chwili ozwała się:

— W dowód prawdziwości tych słów weź pan sobie krzesło i usiądź przy mnie. Gdybyś się pan nie

był lenił i do mnie przyszedł, nie byłbyś tego pożałował. Wy tam piszecie książki z fantazji, a jabym wam wiele, bardzo wiele rzeczy opowiedziała, które tylko usiąść i napisać.

Jakieś istne fatum prześladowało mnie dzisiaj. Ludzie gwałtem narzucali mi się z jak najlepszemi chęciami, które mnie tylko zanudzić mogły!

W przystępie prawdziwéj rozpaczy przyszła mi jednak szczególna myśl do głowy.

Postanowiłem z rezygnacyą słuchać tych wszystkich, którzy w prostocie ducha chcieli mi dostarczać tematów, a tymczasem brać ich samych do zbioru moich modeli...

— Czuję głęboko co utraciłem, rzekłem do pani Aspazji, ale winuję tylko przypadek, który mię pozbawił tyle pouczającéj rozmowy!

— Możesz to pan jeszcze naprawić, z łaskawym uśmiechem odpowiedziała Aspazja, a powtarzam panu, że nie pożałujesz!

— Nadzieja ta jest jedyną moją pociechą!

— Panowie piszecie w książkach swoich ogromne brednie, przedstawiacie kobietę, jakby była z mgły i eteru, bajecie o rozkoszach uczuć subtelnych, a tymczasem to wszystko nieprawda! Być może, że tak być powinno, że może kiedyś tak było... dzisiaj jednak—ach mój panie—na to trzeba być tylko kobietą, aby z taką otwartością o tém mówić!

— Może pani patrzysz na świat przez zbyt omglone okulary!

— To wy macie takie okulary, a nie wiem czy to jest lepiéj, czy gorzéj!

— Lepiéj—jeżeli chcemy kobietę podnieść; gorzéj—jeśli nas za to spotyka gorzkie rozczarowanie!

— A mnie się zdaje, że w każdym razie—gorzéj! Wycackacie bowiem wasze bohaterki do jakichś nieistniejących ideałów i podajecie te lalki kobietom do zabawki, które cieszą się, że są tacy łatwowierni, i wyuczone dla świata pozy biorą za dobrą monetę!... Wy powinniście malować świat dzisiejszy w całéj jego brzydocie—niech obaczy swój konterfekt i niech się sam od niego przestraszy!... Lekarz zwalcza tylko chorobę, a zdrowie samo z siebie przychodzi!... Jeżeli dzisiejsza kobieta obaczy że jest brzydką, to będzie sama szukać sposobu, aby była piękną! Podchlebiać jéj, to znaczy utrzymywać ją w brzydocie!

— Pani jesteś zapamiętałą nieprzyjaciółką dzisiejszego świata!

Aspazja złożyła usta swoje do szyderskiego uśmiechu, jakby najprzyjemniejszy komplement odemnie usłyszała.

— Zgadłeś pan, odparła z widoczną radością, jestem nieubłaganą nieprzyjaciółką dzisiejszych ludzi, i przyznam się, sprawia mi to radość, jeśli widzę ich w jakiém nieszczęściu. A wiesz pan dla czego? Bo wiem że ten świat jest złym do gruntu, że nieszczęście jest tylko małą cząstką kary zasłużonéj!..

— To teraz... w téj chwili tylko tak pani mówisz, rzekłem z nadzwyczajną oględnością.

Zrozumiała jednak tę aluzję Aspazja. Wystawiła szereg pożółkłych zębów i odparła szybko:

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Sądzisz, że za młodszych lat nie miałam téj żółci dla świata, a dzisiaj gdym stara i zgrzybiała, gdy jak nocny upiór tłuczę się po tym świecie, to każdy głośniejszy uśmiech drażni moje nerwy, każda młodsza twarz o czarnych oczkach wzburza mi krew i usta wykrzywia!...

—Nigdy o tém nawet nie pomyślałem, przerwałem staruszce z nietajonym przestrachem.

Aspazja rozśmiała się nader łaskawie, położyła wyschłą, prawdziwie arystokratyczną rączkę na mojéj ręce i odparła z niewłaściwą jej łagodnością:

— Nie bój się! Prawda nigdy mnie nie rozgniewa. Wiem, żem stara i że miléj jest każdemu mężczyznie patrzeć w twarz młodą i ładną. Ale właśnie dla tego żem stara, żem dużo widziała i doświadczała w życiu, mogę ci wypowiedzieć rzeczy, o których nie każdy wie! Otóż mówię ci, że świat dzisiejszy jest zły z gruntu i brzydki!

— Przecież wyjątki być muszą!

— Słyszałam nie raz tę śpiewkę, a nawet czasem sama ją nuciłam!

— Przecież trudno odmówić dzisiejszym ludziom...

— Co chcesz! Oni tego nie potrzebują co w nich wmawiacie!

— Przecież każde społeczeństwo ma mniejszy lub większy kapitał szlachetnych uczuć.

— Być może, że ten kapitał leży gdzie w innych warstwach, ale między nami nie masz go.

— Zdaje mi się, że właśnie przy braku troski o życie codzienne, odzywa się w duszy potrzeba szlachetniejszych uczuć....

— A wiesz pan co to jest u nas życie codzienne? Czy sądzisz, że prócz jedzenia i ciepłéj odzieży, nie ma już u nas żadnéj troski? Czy wiesz że dzisiejsze „życie codzienne“ to są stroje, rauty, bale, koncerty, ekwipaże, teatr i podróże? A życie to nie jest nigdy bez troski, bo przechodzi często nasze fortuny, a ta troska pozbawia nas naszych najszlachetniejszych uczuć, bo jéj poświęcamy nietylko chwilowe zachcenia serca, ale nawet i całe życie!..

Po tych słowach Aspazji poznałem, że rola moja w obec niéj jest dziwną i nienaturalną. Mówiła ona może z pewną przesadą i żółcią, właściwą starym ludziom, ale w słowach było przecież wiele prawdy. Mimo to postanowiłem wytrwać w przyjętéj roli a jéj zostawić stanowisko „advocati diaboli.“

— Czy myślisz pan, prawiła daléj, że dzisiaj kobieta potrzebuje miłości? że z miłości za mąż idzie?.. Gdzie tam! To samo i o mężczyznach powiedzieć można! Inaczéj nawet być nie może. Życie dzisiejsze to dom i potrzeby jego. Te stoją na pierwszym planie, reszta cofa się w tył. Gdy mężczyzna zbliża się do kobiety, to ta naprzód oblicza jakie stanowisko może jéj kupić w towarzystwie. Według tego albo mu się oddaje, albo z kwitkiem go puszcza. Mężczyzna zaś ugania za posagiem, bo bez tego nie sprzeda się. I jakież małżeństwa mogą tworzyć podobni ludzie?... A wy jeszcze piszecie o ideałach, jakbyście spali przez wieki, podobni do owych siedmiu braci śpiących!.

— Dla Boga! zawołałem, spojrzyj pani w koło siebie! Przecież nie brak jeszcze istot wybrańszych!

Aspazja z szyderskim uśmiechem potoczyła oczy dokoła.

— Każesz mi pan wokoło siebie patrzeć? rzekła z tym samym uśmiechem, i cóż tu mogę obaczyć? Chyba to tylko, co moje słowa stwierdza!

— Naprzykład!

— Naprzykład?... Panna Hermina. Widzisz pan tę podżyłą blondynkę. Familja dowiedziawszy się o testamencie córki, podsuwa jéj na męża gołobrodego młokosa, który tymczasem kocha się szalenie w téj szatynce z czarnym krzyżykiem na piersiach. Są już z sobą zaręczeni, choć on kilkanaście lat młodszy od niéj. Czy łączy ich miłość na całe życie? Jakież będzie to małżeństwo? Prawdopodobnie przyzwoite, bo panna Hermina nie będzie nawet zazdrosną! Dzisiaj kobiety nie mają nawet namiętności!...

Zadumałam się nad temi słowami Aspazji.

— Idźmy daléj, mówiła nieubłagana Aspazja, patrz na tę młodą mężatkę o ciemnéj, kreolskiéj twarzy. Przed kilku laty była to jedna z powszechnie adorowanych panien. Na nieszczęście nie miała posagu. Toż wypędziwszy wszystkich gołych adoratorów, oddała rączkę temu opasłemu jegomości, któren właściwie powinien był zostać miechem kowalskim. Ale w miechu tym jest sporo pieniędzy, choć w głowie bardzo ubogo... Pani Kamilla może się więc stroić i mieć dom na stopie swoim wdzięków odpowiedni, ale zato kochany małżonek musi ustawicznie dmuchać na rozżarzone węgle, bo pani Kamilla — spojrzyj pan — to wulkan chodzący! Ile namiętności gore w tém czarném oku? Ile płomieni przebiega tę twarz kreolską przy każdym zalotnym uśmiechu? A koniec tego wszystkiego jest, że masz pan w téj chwili w niéj tragiczną bohaterkę nader ciekawego dramatu....

— Bohaterkę dramatu? zawołałem uradowany, jak myśliwy który na trop zwierza padnie.

— Tak jest, bohaterkę dramatu, sucho odpowiedziała Aspazja.

— Czy byłoby niedyskrecją?

— Patrz pan tylko dobrze!

Spojrzałem na panią Kamillę. Wdzięki jéj były wyzywającéj natury, brwi szerokie zjeżyły się do góry, jakby się do walki gotowały — ale nieprzyjaciela nie było.

Koło niéj siedział jeden z owych starych młodzieńców, który już był za leniwy, aby się na losy walki odważyć. Pani Kamilla patrzała przed siebie, a młodzieńcowi odpowiedziała półgębkiem...

Obraz taki nie miał wcale atmosfery dramatycznéj. Zwróciłem się do Aspazji i rzekłam:

— Nic nie widzę!

— Patrz pan daléj! szepnęła Aspazja, a oczy jéj zaiskrzyły się ogniem zielonym.

W téj chwili zbliżyła się do Kamilli Albina z uśmiechem szczęścia. Przysunęła fotel, wzięła ją za rękę i obydwie kobiety szeptały tak wesoło szczebiotać, jakby Bóg wie z czém zwierzać się miały!

— Powtarzam przecie raz — nic nie widzę! rzekłem po chwili do mojéj towarzyszki.

— To mnie cieszy, odparła żywo Aspazja, bo widzę, że mnie potrzebować będziesz, jeśli ci ciekawość spać nie da!

W téj chwili obydwie kobiety powstały wśród śmiechu i biorąc się za ręce, rozpoczęły promenadę do drugiego pokoju, śmiejąc się szczerze i serdecznie.

— Zatrzymaj się koło nas biały kwiateczku, zawołała Aspazja i pochwyciła lekko za suknię Albiny.

Albina zatrzymała się.

— Pozwól nam mniéj szczęśliwym, prawiła daléj Aspazja z szyderskim uśmiechem, pozwól nam napoić się chwilkę pogodą i szczęściem twoich pięknych oczu!

Albina spojrzała na nas z uśmiechem czarującym. Kamilla namarszczyła czarne brwi.

— Co jest lżejszém do zniesienia, zapytała mnie Albina z pogodném wejrzeniem—czy szczęście, czy nieszczęście?

— Nieszczęście, odpowiedziałem żartobliwie, bo w nieszczęściu bronimy się tylko przeciw temu, co na nas naciera, a w szczęściu częstokroć nie wiemy, co mamy robić?

Albina zamyśliła się..

— Biednaś ty Albinko z tém szczęściem twojém, którego cały świat ci zazdrości, rzekła Aspazja z dziwnym wyrazem na pomarszczonéj twarzy, którego w żaden sposób wytłómaczyć sobie nie mogłem.

Albina podała nam w odpowiedź obie białe rączki i rozśmiała się szczerze i serdecznie!

Aspazja wstała aby się do pułkownikowéj przybliżyć.

— Pani opuszczasz mnie w chwili najciekawszéj, rzekłem do niéj smutno.

— I tak niebym panu powiedzieć nie mogła, odpowiedziała z uśmiechem złośliwym, patrz pan daléj!

Ale patrzeć daléj nie było już na co. Towarzystwo pomieszało się. Utworzyły się nowe grupy, jedne aby słuchać śpiewu, inne aby wygodniéj rozmawiać.

(d. c. n).

BOHATYR PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA.

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

Czyste, pogodne światło styczniowe oblewało jedną z tych okolic rzeki Mississipi, które przed dwoma dziesiątkami lat, przedstawiały zaledwie tuzin skromnych domków drewnianych, a które w ciągu tego czasu, zwyczajem amerykańskich miejscowości, wyrosły na bogate, rojące się w nich skrzętną ludnością miasta handlowe. Południowe słońce zaglądało pełnemi jaskrawemi promieniami do pewnéj willii leżącéj w niewielkiéj odległości od miasta, willii która pośród wielu innych, odznaczała się wspaniałością swoich budowli, i bogactwem otaczających ją ogrodów.

W przeznaczonym do przyjmowania gości, bogato urządzonym pokoju, którego umeblowanie świadczyło wyraźnie, jak zamożni amerykanie wykwintność za niezbędną potrzebę życia swego poczytują, siedziała przed kominkiem młoda kobieta w najświeższym, eleganckim stroju domowym. Była to dziewica lat ośmnastu do dwudziestu, która w pełnym odblasku wzmagającego się lub chwilowo gasnącego kominkowego ognia, przysłuchiwała się uważnie słowom siedzącego naprzeciwko niéj gościa. Bujne ciemne włosy otaczały jéj oblicze, którego przezroczysta brunatna cera nadawała jéj pewną bladość, a wielkie błękitne oczy, doskonałéj regularności rysy, przedstawiały ją jako prawdziwą piękność, któréj przecież czegoś... czegoś.. co niezmiernie trudno byłoby określić, niedostawało. Na obliczu tem nie było tego wyrazu wesołości i swobody, na któréj młodemu wiekowi tak rzadko zbywa, nie było tego lekkięgo odcienia trwożliwości właściwéj ośmnastoletniéj kobiecie, nie było przedewszystkiem tego piętna miękkiéj słodyczy, którego brak zawsze prawie, na niekorzyść najestetyczniejszéj nawet piękności wypada. W całéj postaci dziewczęcia uderzała za pierwszém spojrzeniem jakaś surowa powaga, pewny siebie spokój, niezaprzeczona wiedza własnych sił, chociaż nie zdawało się bynajmniéj, ażeby straszne burze lub gorzkie koleje ubiegłego żywota, mogły już tak młode stworzenie nabawić przykrości późniejszemu dopiero wiekowi właściwych. Czoło dziewicy było jeszcze zbyt pogodne, oczy zbyt czyste ażeby one jakich przeciwności doświadczyć już miały. Zawsze jednak owa powaga na któréj piękność jéj pod względem wdzięku niezmiernie wiele traciła, musiała być co bądź wrodzoną, bądź też dopiero skutkiem okoliczności nabytą.

Naprzeciwko niéj, w wygodnym nizkim fotelu siedział młody człowiek, w najwykwintniejszém wizytowem ubraniu. Powierzchność obojga przedstawiała pewne podobieństwo, które nietylko jednakową barwą włosów i oczów, ale nadto właściwym obojgu wyrazem zimnego spokoju i samoistnéj dumy uderzało. Jednakże nadmienić wypada, że w owéj dziewicy wszystko to odbijało się daleko wyraźniéj i ostrzéj, gdy tymczasem w młodym człowieku znikało niejako pod pewną konwencjonalną ogładą form towarzyskich, i chociaż on mógł rościć prawa do niepospolitéj męzkiéj urody, przecież przedstawiał się jako człowiek niezupełnie samodzielny. Prowadząc żywą rozmowę z młodą damą, tak kończył swoje rozpoczęte opowiadanie:

— Mój ojciec poczytuje tę podróż do Europy za niezbędną do ukończenia mego kupieckiego wykształcenia, a ja tem chętniéj skłaniam się do jego woli, że w téj podróży spodziewam się znaleść wiele dla siebie zajęcia. Przedewszystkiem wyjadę na cztery miesiące do Nowego-Yorku, gdzie interesa naszego domu wymagają chwilowo osobistéj mojéj obecności; ztamtąd odpłynę w marcu do Europy. Rok czasu wystarczy mi na zwiedzenie Anglji, Francji i Niemiec, tudzież na przebieżenie Szwajcarji i Włoch bez których, poznania wracaćby się nie godziło. Z przyszłą wiosną mam nadzieję stanąć tu z powrotem.

Dziewica słuchała z widocznem zajęciem tego pobieżnego planu podróży. Nareszcie opuściła rękę podpierającą jéj główkę, i spoglądając na gościa rzekła:

— Rzeczywiście, panie Alison, będzie to rok, który panu obfite przyniesie plony! Przykro jednakże będzie mojemu ojcu, że stan jego zdrowia nie pozwala mu widzieć pana przed wyjazdem.

— I ja żałuje także, że pan Forest zbyt jest cierpiącym, ażeby mógł moje osobiste przyjąć pożegnanie. Czy mogę panią prosić, ażebyś go w mojém pożegnała imieniu?

— Dziewczę skłoniło głowę twierdząco. „Niewątpliwie! A tymczasem przyjmij pan odemnie najszczersze życzenia szczęśliwéj podróży, takiegoż powrotu.“

I podała mu uprzejmie rękę. W oczach młodzieńca błysnęła jakaś iskra za dotknięciem téj pięknéj lecz chłodnéj rączki, którą w swych dłoniach zatrzymał.

— Miss Forest, rzekł po chwili, czy mi pani pozwolisz jedno tylko zadać sobie pytanie?

Przelotny rumieniec ożywił na chwilę lica dziewicy, ale przeminął on równie szybko, jak szybko na nich się pojawił.

— Słucham, panie Alison!

Podniósł się nagle, i trzymając zawsze jéj rączkę w swéj dłoni, stanął tuż przy jéj boku.

— Źle może wybrałem tę chwilę do uroczystego oświadczenia się, ale wiem zanadto dobrze, że Miss Forest jest celem zbyt wielu starań i zabiegów, które dla nieobecnego mogą być niebezpiecznemi. Przebacz pani zatem, że właśnie teraz poważam się mówić o uczuciu, które nie jest już może dla pani tajemnicą. Czy mogę mieć nadzieję, że moje życzenia zostaną wysłuchane, i że za moim powrotem będę mógł na nowo ująć tę rękę i zatrzymać ją na całe życie?

Rozpoczął on swą mowę spokojnie, tak niemal jakby jaki interes kupiecki; lecz głos jego wznosił się stopniowo do pewnego zapału i przebijało w nim jakieś gwałtownie tłumione wzruszenie, a oczy jego były z palącą niespokojnością utkwione w jéj oblicze, jak gdyby w niém upragnioną odpowiedź wyczytać chciały.

Miss Forest słuchała go w milczeniu. Najmniejszy rumieniec zdziwienia, najmniejsze dziewicze pomięszanie najmniejsza zmiana rysów nie dała poznać, czy to żądanie było dla niéj upragnioném, czy wstrętném; dopiero kiedy mówić przestał, podniosła oczy ku niemu; spokojność jéj wzroku, dziwną tworzyła sprzeczność z jego wzrokiem, i odpowiedź jéj brzmiała jędrnie i jasno, a wypowiedzianą została bez żadnego wahania lub skrytości:

— Pytasz mnie pan otwarcie pani Alison takąż samą też będzie moja odpowiedź. Znam życzliwość pana dla mnie, a ja panu podzielam ją, i skoro pan powrócisz, złożę moją rękę z pełném zaufaniem w rękę pana na całą wspólną przyszłość naszą.

Żywy promień radości zabłysnął na zimnych rysach Alisona, ale w téjże saméj prawie chwili powróciła na nie zwykła spokojność, tak jak gdyby się wstydził tego mimowolnego wybuchu.

— Ach miss Jenny, czynisz mnie szczęśliwszym nad wszelkie wyrazy, czy mogę teraz oświadczyć się Panu Forest?

— Nie, przerwała mu szybko. Nie pan, ja sama mu to oznajmię. Przedewszystkiem postawię panu warunek, któremu się poddać musisz, panie Alison. Ja nie mogę stanąć narzeczoną przy śmiertelnem łożu mego ojca, nie mogę i nie chcę pozbawić go ani jednéj chwili, któréjby ten nowy stosunek odemnie wymagał. Chciéj pan więc to o czém dopiero była mowa zachować jeszcze w tajemnicy, przynajmniéj dla każdego obcego. Za powrotem pana mogą się już wszyscy o tém dowiedzieć, ale do tego czasu nie domagaj się pan żadnego z tych praw, jakie ci moja przychylna odpowiedź nadaje. Ja teraz przyznać ich panu jeszcze nie mogę i nie chcę.

W tém stanowczém wyrażeniu: „ja nie mogę i nie chcę” było tak mało tego poddania się narzeczonéj dziewicy, że Alison uczuł to od razu i czoło jego pokryła lekka chmurka niezadowolenia.

— Ciężki to jest warunek Jenny! Ale na teraz pozwolisz mi pani przynajmniéj, ażebym podróż moją odłożył na czas późniejszy, tudzież ażebym się mógł znajdować przy boku twoim w razie, gdyby, jak się obawiam nieunikniony cios miał panią ugodzić?

Jenny poruszyła głową przecząco. „Dziękuję panu, lecz ja nie potrzebuję żadnéj podpory. Cios jaki mi zagraża,” i teraz dopiero po raz pierwszy w ciągu téj całéj rozmowy zadrżały usta dziewczęcia, „ja go znieść potrafię, a najłatwiéj przyjdzie mi go znieść saméj jednéj. Żądam, ażebyś pan swojéj podróży, ani o jedną godzinę nie spóźnił, i powrotu swojego ani o jeden tydzień nie przyspieszył. Za rok zobaczymy się znowu; do tego czasu musi panu moje słowo wystarczyć, tak jak mnie słowo pana wystarczy.

To powiedziawszy, podniosła się i stanęła przed nim z wyrazem woli tak nieugiętéj, że Alison od razu spostrzegł zupełną niemożebność pokonania tak stanowczo objawionego postanowienia: widział on dobrze, że ona rzeczywiście żadnéj nie będzie potrzebowała podpory. i dla tego też to poddanie się ze swéj strony nałożonemu sobie przymusowi nie uważał dla siebie zbyt uciążliwém.

— Przekonam panią, jak ja umiem wolę pani szanować, chociaż mi to z trudnością przyjdzie. Lecz jakkolwiek nie wolno mi jeszcze żadnego z praw moich używać, mam przecież nadzieję, że pierwszego z nich, a na teraz jednego, odmówić mi pani nie zechcesz.

Jenny nic nie odpowiedziała, ale i nie opierała się także, kiedy Alison ujął ją w swoje objęcia i gorący pocałunek na jéj ustach wycisnął; oczy jego znowu namiętnym zapłonęły ogniem, przycisnął ją silniéj jeszcze do swych piersi, lecz kiedy tę pierwszą pieszczotę chciał serdeczniéj i goręcéj powtórzyć, ona nagłem poruszeniem wyrwała się z jego objęcia.

— Dosyć, Henryku! Nie utrudniajmy sobie naszego rozłączenia. Za rok znajdzie pan swoją narzenarzeczoną, ale dotąd.... milczenie.

Henryk ostudzony nieco tym niespodziewanym oporem, cofnął się o parę kroków, a jego rysy przybrały znowu ten zimny, dumny wyraz który jego rysów ani na jedną chwilę nawet nie opuścił. Alison widocznie nie był stworzony do żebrania pieszczot, których mu dobrowolnie przyznać nie chciano.

Jakiś szmer i kroki w przyległym pokoju, skłoniły oboje do przyjęcia zwykłéj postawy osób spokojnie z sobą rozmawiających. Dziewica siedziała znowu jak pierwéj w swoim fotelu, a naprzeciwko niéj Alison, kiedy do ich towarzystwa trzecia przybyła osoba. Był to nizki, sędziwy człowiek, z włosem siwym i przenikliwym wzrokiem, w którym wcale nietajone przebijało się szyderstwo, gdy ujrzał młodą parę tak objętnie naprzeciwko siebie siedzącą.

— Doktór zabiera się już do odjazdu, a pani chciałaś z nim pierwéj pomówić.

Jenny podniosła się szybko. Proszę przebaczyć, panie Alison, muszę iść do mego ojca. Przygotuję go do odwiedzin pana dzisiaj wieczorem.

Podała mu rękę, uścisnęła znacząco, spojrzała nań wzrokiem głębokiego, spokojnego porozumienia i skłoniwszy się lekko wyszła z pokoju.

Gdy się drzwi za nią zamknęły, przybyły na końcu jegomość zbliżył się do Alisona i położywszy rękę na jego ramieniu powiedział:

— Winszuję!

Młody człowiek zwrócił się nagle, i „Czego?" zapytał surowo.

— Zaręczyn!

Alison zmarszczył brwi niechętnie. Zdaje się, panie Atkins, że się także i szpiegowstwem bawisz?

Zagadniony, przyjął ten wyrzut z zupełną spokojnością.

— Być może. Ale powinien byś wiedzieć, panie Henryku, że ja przecież nie należę do liczby tych ludzi obcych, dla których rzecz ta ma pozostać tajemnicą.

Czoło młodzieńca rozjaśniło się nieco. Pan jesteś w każdym razie wyjątkiem, zatem....

— Zatem, przyjmij pan bez ceremonji moje życzenia, odparł Atkins. Oboje państwo uwinęliście się dosyć prędko z tą sprawą! Chcesz mnie? Chcę! Rzecz skończona! Za rok wesele! Wszystko krótko, gładko, jasno, bez długich gadanin i czułostek, zupełnie w guście Miss Jenny. Nasza nieboszczka pani byłaby strasznie zgorszona takiem postępowaniem.

Usta Alisona ściągnęły się wzgardliwie. Gdyby Miss Forest była podobną do swéj matki, wątpię bardzo czybym się o nią starał.

To pan masz słuszność! rzekł Atkins sucho. Ona i mnie także nie przypadała do smaku! Zawsze chora, zawsze we łzach, zawsze wyprawiająca jakieś sceny, pełna jakichś czułostek, przesady! Była to prawdziwa niemka, która też z tęsknoty za swoim krajem umarła. Szczęście, że jéj córka wolną jest od tego wszystkiego; ta, to istny ojciec!

— Wiem o tem. To też nikt nie posądziłby pana Forest'a o najmniejszy sentymentalizm.

— Nie! powtórzył Atkins spokojnie, lecz, jak mnie się zdaje, miał go i on porządną dozę, ale na szczęście był tyle rozsądnym, że to wszystko, jak równie i wiele innych rzeczy, których my tu potrzebować nie możemy, pozostawił tam, za morzem. Kiedy Forest przed dwudziestu laty do nas przybył, musiano mu się w jego rodzinnym kraju dobrze dać we znaki, bo przyniósł z sobą zawziętą nienawiść dla swoich niemców i wszystkiego co tylko z nimi jakikolwiek ma związek; nawet zamerykanizował swoje nazwisko. Wiadomo panu, że on się dawniéj nazywał Förster—i kiedy się nasza kolonja rozszerzyła, a niemcy naturalnie z sobą się zlali, on odczepił się od nich zupełnie i przystał do amerykanów. Tego znowu żona jego znieść nie mogła, bo nie chciała przywyknąć do naszego życia; ztąd wyradzały się ustawiczne spory i kłótnie, a gdy dziewczyna dorastać zaczęła, rzeczy coraz gorszy przybierały obrót. Ojciec chciał ją wychować na amerykankę i dopiął też celu swojego, zwłaszcza że i miss Jenny stanowczo po jego stanęła stronie; to przecież złamało serce matki. Mówię panu, żeśmy tu nieraz bardzo przykre miewali sceny. Wszystko to uspokoiło się dopiero, kiedy pani Forest umarła z tęsknoty za rodzinnym krajem. Ale, jak teraz to zdaje się, że i on niedługo ją przeżyje.

I szyderczy dotąd głos Atkinsa, przy tych ostatnich wyrazach przemienił się mimowolnie na bardzo poważny. Alison słuchając go w milczeniu, uchwycił kapelusz ze stołu i rzekł po chwili:

— Słyszałeś pan, że podróży mojéj odwlóczyć nie mogę, zwłaszcza, że mnie rzeczywiście własne interesa do New-Yorku powołują. Gdyby nastąpił wypadek, jaki nam przewidywać należy, w takim razie Miss Forest znajdzie pana przy swoim boku. Gdyby zaś, tu (Alison zajęty był gorliwie zapinaniem swoich rękawiczek) gdyby zaś pod względem uporządkowania spadku jakiekolwiek trudności wyniknąć miały, wtedy mój ojciec tak wpływem swoim, jako i gruntowną znajomością rzeczy, pomocy swojéj jak najchętniéj wam udzieli. Zresztą pożądaną i pożyteczną byłoby rzeczą, ażeby interesa przyszłéj jego synowy nie były mu obcemi, skoro ja, z powodu mojéj podróży nie będę mógł niemi się zajmować.

Takież samo jak pierwéj szyderstwo odbiło się w oczach Atkinsa, gdy bezzwłocznie odpowiedział: Uprzejmie dziękuję za tę ofiarę, ale według brzmienia testamentu, majątek pozostaje w *mojem* ręku, zatem znajdować on się będzie w najzupełniejszym porządku. I pan więc i ojciec twój będziecie musieli jakiś roczek cierpliwie poczekać, dopóki Miss Jenny sama swojego posagu do waszego domu nie wniesie. Tymczasem jednak mogę pana uspokoić, że panna Forest jest bardzo bogatą, bogatszą nawet niżeli pan sądzisz a zdaje mi się, że w owéj chęci rozpatrzenia się w naszych interesach, głównie o to panu chodziło.

Alison rzucił gniewne spojrzenie na Atkinsa i rzekł: Mój panie, bywasz czasami strasznie niedelikatny!

— Dla czego? odpowiedział tenże najspokojniéj w świecie. Czy pan to uważasz za jaki zarzut? albo czy pan mniemasz, że mógłbym cię posądzić o głupstwo żenienia się z kobietą ubogą, teraz mianowicie, kiedy ogromny rozwój waszego domu handlowego i stosunki, jakie w Europie zawiązać pragniecie, zdwojenia waszych kapitałów wymagają? Nie, panie Henryku, zbyt cię wysoko cenię, bym cię mógł o taką niepraktyczną romansowość obwiniać.

Alison zwróciwszy się, przeniklíwe utkwił w nim spojrzenie. Jako wspólnik i przyszła głowa domu naszego, ja sam tylko mam prawo ważenia wszelkich okoliczności przy wyborze mojéj małżonki, lecz daję panu najuroczystsze słowo, że jeżeli majątek panny Forest chociaż w części tylko odpowiada moim oczekiwaniom, przekładam ją nad wszystkie inne bogatsze od niéj kobiety.

Atkins roześmiał się głośno. „Wierzę ci nawet bez przysięgi, panie Henryku! Ty sam masz dosyć ognia w sobie, ale zadziwię się bardzo jeżeli go chociaż cokolwiek z naszéj pięknéj zimnéj panienki wydobędziesz, bo dotąd jest ona jeszcze trochę za chłodną. Zobaczymy; w każdym razie wielkie to szczęście, skoro kupiec umie się z kochankiem pogodzić, a tutaj uzupełniają się oni obaj doskonale. Jeszcze raz tedy, winszuję panu szczerze!"

Wyszedłszy z salonu Jenny, przebiegła szybko cały szereg wspaniałych komnat i weszła do półprzyćmionéj również bogato i wykwintnie urządzonéj sypialni. Lekko stąpając po miękkim, przepysznym kobiercu, zbliżyła się do łóżka, i po cichu, ostrożnie rozsunęła ciężką osłaniającą je kotarę.

Teraz dopiero pokazało się, zkąd pochodził ów szczególny w rysach młodéj dziewicy wyraz, który ją tak widocznie od innych jéj wieku dziewcząt odróżniał; owa uroczysta powaga zimna, stanowczość woli, energiczna duma, wszystko to niestarte i niezłagodzone jeszcze cierpieniami malowało się w obliczu człowieka, który tutaj na śmiertelnéj spoczywał pościeli i który posłyszawszy cichy około siebie szelest, odwrócił zwolna głowę do pochylonéj nad nim córki.

— Powiedziano mi, że doktór był u ciebie, i był sam jeden tylko, a ja chciałam być obecną jego wizycie. Czy taką była wola twoja ojcze?

— Tak, dziecię moje! Pragnąłem usłyszeć jego ostateczną decyzję, któréj w twojéj przytomności nie byłby może śmiał wyraźnie objawić. Teraz wiem już, że życie moje tylko na dziś liczyć się może.

Jenny upadła przed łóżkiem na kolana i przytuliła głowę do poduszki ojca. Nie odpowiedziała ani jednego słowa, lecz całe jéj ciało drżało konwulsyjnem, siłą woli tłumionem bezłzawem łkaniem. Chory, tkliwie spojrzawszy na nią, rzekł głosem łagodnym:

— Uspokój się Jenny! Wyrok doktora ani ciebie, ani mnie dziwić nie powinien, chociaż oboje może późniejszego trochę spodziewaliśmy się rozłączenia. Nastąpić ono musi, a ty nie zechcesz mi tego nieuniknionego rozstania twojemi łzami utrudniać.

— Nie! Podniosła się szybko i spojrzała na ojca, a boleść córki stłumioną została pod naciskiem silnéj woli kobiety, tak, że tylko w jéj ustach lekkie pozostało jeszcze drżenie; chory uśmiechnął się, ale w tym jego uśmiechu przebijała się niby pewna gorycz. Kto wie, czyby mu nie przyjemniéj było mniéj spieszne posłuszeństwo córki?

— Chciałem pomówić z tobą, moje dziecię, nie wiedząc ile jeszcze spokojnych wolnych od boleści chwil mi pozostaje. Przybliż się do mnie i słuchaj.

Jenny, spełniając wolę ojca, usiadła na brzegu łóżka i w milczeniu czekała.

— Mogę cię spokojnie pożegnać, bo jestem przekonany, że mimo młodości twojéj nie potrzebujesz ani podpory, ani żadnego opiekuna. Co się zewnętrznych interesów dotyczy, będziesz miała przy boku twoim Atkinsa; jego sarkastyczna, zawsze szydercza natura, nie była nigdy dla mnie sympatyczną, ale o jego prawości i przywiązaniu przekonałem się w blisko dwudziestoletnich z nim stosunkach. Wiesz, że on już od dawna własnego dorobił się majątku, a przecież nie chciał porzucić naszego domu; zatem i nadal pozostanie przy tobie, przynajmniéj dopóty, dopóki w małżeńskie nie przejdziesz objęcia, co może wkrótce....

— Mój ojcze! przerwała mu córka spokojnie, winnam ci złożyć pewne wyznanie. Pan Alison był dzisiaj u mnie — i.... prosił o moją rękę.

Chory podniósł się szybko na posłaniu z wyrazem najżywszego zajęcia.

— A ty?

— Przyrzekłam mu ją.

— Tak? Chory osunął się bezwładnie na poduszki i milczał.

Zdziwiona Jenny pochyliła się ku niemu. „Czy jesteś z tego niezadowolony, mój ojcze? Ja z góry spodziewałam się twego przyzwolenia."

— Wiesz dobrze, moja córko, że w wyborze męża twojego ani cię ograniczać, ani woli mojéj narzucać ci nie będę. Idzie tu o *twoją* przyszłość i przekonany jestem, że postanowienie twoje uczyniłaś z najgłębszą rozwagą.

— Tak jest! Propozycja nie była dla mnie niespodziewaną. Mam nieograniczone zaufanie w charakterze pana Alison i w jego przyszłości; rodzina jego należy do najpierwszych w mieście, położenie ma świetne, i jestem pewną że jego zdolności kupieckie postawią go z czasem na świetnem stanowisku w świecie handlowym. Czy ci się to wszystko wydaje niedostatecznem, mój ojcze?

— Mnie? Jeżeli to dla ciebie wystarcza!

Jenny ze zdumieniem zwróciła oczy na ojca, jak gdyby go pytać chciała, czy można jeszcze czegoś więcéj wymagać w małżeństwie? Forest uśmiechnął się tylko z takąż samą jak pierwéj goryczą.

— Masz słuszność, Jenny, zupełną słuszność! Myślałem tylko o mojem własnem staraniu się o twoją matkę i o jéj na to przyzwoleniu. Mniejsza o to! Alison posiada rzeczywiście te wszystkie przymioty, jakie dopiero co wymieniłaś. Pod tym względem, jeżeli nie wyższą, to niższą nie jesteś od niego. Będziecie więc bardzo — bardzo zadowoleni z siebie.

— Spodziewam się! i Jenny zaczęła opowiadać ojcu warunki jakie swemu narzeczonemu postawiła, i termin do którego ich związek odroczony został. Forest przysłuchiwał się z największą uwagą słowom córki.

— Bardzo mi się to podoba, rzekł nareszcie. Takiem postanowieniem twojem uprzedziłaś tylko moje życzenia, bo i ja mam także postawić ci pewien warunek. Cobyś na to powiedziała, gdybym zażądał od ciebie, ażebyś ten rok wolny jeszcze od obowiązków małżeńskich, przepędziła w Niemczech pośród tamecznych krewnych naszych.

Dziewica z wyrazem przykrego zdziwienia podniosła się z łóżka.

— W Niemczech? Ja?

— Tak, ty nie lubisz Niemiec?

— Nie! odpowiedziała Jenny zimno, podobnie jak ty mój ojcze, nie lubię tego kraju który młodość twoją zniweczył, twoje życie goryczą napoił i wygnał cię jak zbrodniarza jakiego. Nigdym tego matce mojéj przebaczyć nie mogła, że nie pojmując tego wszystkiego coś tam wycierpiał, zawsze do niego wzdychała, i tą swoją nieuleczoną za nim tęsknotą swoje własne i twoje zatruwała życie.

— Milcz Jenny! zawołał Forest z gniewem. Są to rzeczy, których ty nie rozumiesz i nigdy zrozumieć nie potrafisz? Twoja matka nie pojmowała mnie; wiem o tem, — uczyniła mnie nieszczęśliwym; tak, — a jednakże obdarzała mnie ona takiemi chwilami szczęścia, jakiemi ty męża twojego nigdy nie obdarzysz— —nigdy Jenny! Zapewne pan Alison nie będzie ich też potrzebował.

Jenny milczała. Przywykła ona już widzieć ojca swojego w ostatniéj chorobie bardzo drażliwym, a czasami nawet niezrozumiałym, więc z należnem dla chorego pobłażaniem zniosła gwałtowny jego wybuch i spokojnie zajęła znowu miejsce na jego posłaniu.

W kilka minut potem Forest zwrócił się znowu do niéj. Przebacz mi, moje dziecię! rzekł głosem łagodnym, —byłem niesprawiedliwym. Jesteś taką jaką cię wychowałem, jaką cię mieć pragnąłem, i teraz jeszcze nie żałuję, że ci taki nadałem kierunek. Ty łatwiéj przebędziesz walkę życia, niż twoja słaba, delikatna matka. Daj temu wszystkiemu pokój; wszakże ja tobie co innego chciałem powiedzieć. Czy ty wiesz żeś miała brata?

Jenny przestraszona temi słowy, utkwiła badawcze spojrzenie w oblicze ojca.

— Będąc dzieckiem słyszałam o tem niekiedy, ale późniéj nigdy mi nic nie mówiono. Wszakże on nie żyje?

Chory westchnął głęboko. Być może! A może też i żyje! Nie mogliśmy się nigdy nic pewnego w téj mierze dowiedzieć. W końcu zabroniłem wspominać jego imię, bo każde o nim przypomnienie sprowadzało straszliwe wstrząśnienia dla twéj matki, która nigdy zapomnieć o nim nie mogła.

Jenny z trwożliwem zajęciem przysunęła się do ojca, który ująwszy jéj rękę, tak daléj mówił:

— Nie są ci obcemi, moje dziecię, ostatnie dzieje twego kraju rodzinnego. Wiesz, jakie to poruszenia na początku naszego trzydziestolecia owładnęły całą Germanję i jaką w nich rolę grały niemieckie wszechnice. Byłem wtedy studentem, i jako dwudziestoletni młodzieniec rozgorzałem i ja, podobnie jak wielu moich towarzyszy ideą wolności i wielkości mojéj ojczyzny. Za to przestępstwo rząd odpowiedział nam trzema wyrokami śmierci, która dla mnie w drodze łaski na trzydziestoletnie więzienie zamienioną została.

Przebyłem w zamknięciu lat siedm, jakeś o tem niejednokrotnie odemnie słyszała. Te siedm lat nie pozostały przecież bez skutku: ostudziły bowiem ideały i marzenia młodości na zawsze, i kiedy nareszcie amnestja nadeszła, zamiast dwudziesto letniego marzyciela zastała mnie dojrzałym człowiekiem, który pod żelaznym naciskiem turmy, śród niezliczonych upokorzeń, nauczył się inaczéj stawać do walki z życiem i jego niedolą.

Forest zatrzymał się chwilę w swojem opowiadaniu, lecz surowa, dzika gorycz malująca się w jego rysach, gorycz, która jeszcze ostrzéj uwydatniała się w obliczu jego córki, wskazywała, że bolesne te wspomnienia nie były jéj wcale obcemi, i że ona już od dawna była powiernicą swego ojca.

Po krótkiéj przerwie, Forest rzekł znowu: „Zaledwie mnie uwolniono, popełniłem wielkie szaleństwo żem się ożenił. Było to niesłychane głupstwo w mojem położeniu, lecz zaręczyłem się z twoją matką będąc jeszcze w uniwersytecie; ona tyle lat czekała na mnie, dla mnie wyrzekła się bardzo świetnego losu, a wówczas sama jedna, opuszczona, sierota, oddana była na łaskę i niełaskę ludzi obcych. Tego znieść nie mogłem, i ważąc się na wszystko zaślubiłem ją. W rok potem urodził się twój brat. Do ciebie—tu długie niemal bolesne spojrzenie przesunęło się po licach pięknéj dziewicy,—do ciebie Jenny, nie był on wcale podobny. Był jasno włosy i miał niebieskie oczy jak matka, ale i jego urodzenie nie przyniosło mi radości. Pierwsze ośm lat tego małżeństwa były najboleśniejszemi w mojem życiu, boleśniejszemi nawet od lat w więzieniu spędzonych. Tam byłem sam, i sam przynajmniéj cierpiałem, tu chodziło o żonę i dziecię, tu trzeba było toczyć nieustającą walkę z nędzą, która całą swoją grozą nad nami ciążyła. Naturalnie że cała moja przyszłość była zniweczoną, wszystkie moje stosunki zerwane! Gdziemkolwiek się ruszył, cokolwiek przedsięwziąłem, wszędzie spotykałem zawód, wszystko uciekało przedemną. Zużywałem tedy najlepsze moje siły, rwałem się do wszystkiego by na chleb codzienny zarobić, a najcięższe ofiary nie zawsze wystarczały na zasłonienie mnie i rodziny mojéj od niedostatku. I bylibyśmy może upadli pod tem brzemieniem, kiedy nadszedł rok czterdziesty ósmy, który pokazał, że stary marzyciel jeszcze się nie nauczył rachować ze swemi mrzonkami. Pozwolił on się znowu uwikłać, poszedł po raz drugi za złudnym głosem syreny, by się powtórnie rozbić o skały. Umieściwszy żonę i syna u krewnych, rzuciłem się w sam prąd ówczesnych ruchów. Wiesz, na czem się wszystko skończyło! Nasz parlament został zerwany; walka wybuchła w Badeńskiem, ja przyjąłem dowództwo w wojsku rewolucyjnem. Pobito nas i rozpędzono. Gdyby mnie przyjazne losy były pierwszym razem od ostateczności uchroniły, nie byłbym teraz na żadną narażony odpowiedzialność; ale nie chciałem powtórnie, a może już i na zawsze dostać się do więzienia, więc ratując i siebie i rodzinę, postanowiliśmy uciekać do Ameryki. Mój szwagier opatrzył mnie w potrzebny na ten cel fundusz, być może z dobrego serca, a może też dla tego tylko, ażeby się już raz pozbyć demagoga, który hańbę krewnym swoim przynosił. Czas nagli, i trzeba było wielkiéj przezorności, bo nas już w całych Niemczech ścigano.

Przebrany i pod obcem nazwiskiem, dostałem się do Hamburga, gdzie żona z dziećmi czekała już na mnie. Urodziłaś się właśnie w ostatnich miesiącach powyższych wypadków. Biedne dziecię moje; była to nieszczęśliwa chwila, w któréj cię pierwszy raz do serca przycisnąłem. Z pierwszym pocałunkiem ojca, spłynęła jednocześnie łza zawziętéj nienawiści i gorzkiéj rozpaczy na twoją drobną twarzyczkę, i boję się czy ona nie rzuciła smutnego cienia na całe życie, bo nigdy cię nie widziałem tak swobodnie wesołą, radosną jak inne dzieci. Nie chcąc obudzić podejrzenia, udaliśmy się przed samym dopiero odjazdem do portu, i to każde oddzielnie. Matka twoja z tobą na ręku szła przodem, ja postępowałem w pewnem oddaleniu za wami, prowadząc mego chłopca za rękę. Nagle tuż prawie przy schodach wiodących do okrętu, ujrzałem człowieka który mnie znał, i który spostrzegłszy, mógłby mnie był zgubić. W takiem niebezpieczeństwie kazałem chłopczynie pospieszyć za matką, którą jeszcze widział przed sobą, sam zaś wmięszałem się w tłum rojącéj się ludności portowéj. W godzinę potem, ów człowiek niebezpieczny zniknął gdzieś i udało mi się szczęśliwie dostać do okrętu. Żona, przygotowana na możliwe z méj strony opóźnienie, wybiegła na moje spotkanie i pierwszem jéj pytaniem było, gdzie nasze dziecko?

Zrozumieliśmy się w jednéj chwili. Chłopiec nie dogonił jéj, zatem musiał na lądzie pozostać. Śmiertelną zdjęty trwogą i nie zważając na grożące mi niebezpieczeństwo, wysiadam napowrót, szukam i dopytuję się w całym porcie; lecz wszystko napróżno. Cud prawdziwy, że moje gwałtowne wzruszenie nie zdradziło mnie, że ów śledzący mnie siepacz nie spotkał mnie nigdzie. Nareszcie rozległ się w porcie sygnał odjazdu; pozostając, byłbym zgubiony, a żona i dziecko odpłynęłyby same, bez żadnéj pomocy do zupełnie obcéj dla nich części świata. Wybór był straszny, ale prędki! Kiedym powrócił na statek bez syna, kiedym widział znikające z przed oczu moich brzegi, na których dziecię moje zostawało samo jedno, na wszystkie wystawione nieszczęścia, o! wtedy niewypowiedziana gorycz napełniała serce moje dla kraju rodzinnego, który mnie tak nielitośnie od siebie odpychał, gorycz, która nigdy niezatartem piętnem wyryła się na całem mojem życiu, na wszystkich moich wspomnieniach.

Wylądowawszy w Nowym Yorku, zaraz, tegoż samego dnia napisałem do brata méj żony; ale wieleż to czasu upłynęło za nim list został wyprawiony i zanim doszedł do Europy. Szwagier zajął się gorąco i serdecznie poszukiwaniem, pojechał osobiście do Hamburga, przedsiębrał wszelkie możliwe kroki, lecz wszystko bezskutecznie; dziecię nasze znikło bezpowrotnie!

Forest zamilkł, tylko piersi jego ciężkim, głębokim wzdymały się oddechem. Jenny, bolesnem przejęta zdziwieniem, pochyliła się jeszcze więcéj ku niemu, lecz nie myślała bynajmniéj uspokajać wzruszenia, które niebezpiecznem, zabójczem dla niego być mogło; zresztą tego rodzaju czułostki nie należały wcale do zwyczajnych stosunków pomiędzy ojcem i córką. Miała usłyszeć jakąś tajemnicę, miała przyjąć jakieś ostatnie zlecenia; chociażby więc życiem przypłacił, nie wstrzymywało to ani jego od wypowiedzenia, ani jéj od wysłuchania wszystkiego. Inaczéj stać się nie mogło. Po chwili wypoczynku, mówił daléj:

— Z tą ostatnią ofiarą wyczerpały się wszystkie przeciwności mego losu. Od pierwszego kroku postawionego na ziemi amerykańskiéj, szczęście sprzyjać mi zaczęło. W Nowym Yorku poznałem się z Atkinsem, który tu na skromnéj posadzie pisarza ubogie wiódł życie. On to ocalił szczupłe moje mienie

od bandy ludzi nieuczciwych, którzy na niedoświadczonego już sieci swoje zarzucili. Przez wdzięczność ofiarowałem mu wspólną podróż na zachód. Nie miał nic do stracenia i puścił się tutaj ze mną. My pierwsi dotknęliśmy siekierą dziewiczego lasu i pierwszą wystawiliśmy w nim chatę. Może przypominasz sobie jeszcze z lat twoich dziecinnych, że twój ojciec sam, z siekierą i motyką w ręku wychodził w pole, kiedy twoja matka spełniała najgrubsze roboty sługi. Ale to nie długo trwało. Nasza kolonja wzrastała szybko, bo i ziemia i położenie sprzyjały temu niezmiernie. Powstało miasto, zbudowano port. Grunta które za bezcen kupiłem, podniosły się dwadzieścia, trzydzieści razy w swéj wartości, a przdsiębierstwa, na jakie się z innymi rzucałem, miały niesłychane powodzenie. I ów niegdyś tak gorąco przezemnie upragniony udział w życiu i działaniu publicznem, oraz przywiązane do nich znaczenie i uznanie zasługi spłynęły na mnie obficie. A teraz, moje dziecię, pozostawiam cię w położeniu i stosunkach, które nawet dla takiego pana Alison będą bardzo zaszczytne, jeżeli rękę twoją otrzyma.

— Wiem o tem, mój ojcze! I świadomość tego stanowiska odbiła się w téj chwili wyraźniéj niż kiedykolwiek w całéj postawie Jenny; nie była to pycha pospolita, ale duma która się prawdopodobnie opierała na przekonaniu, że ona była córką takiego ojca.

Z wysileniem wskazującem jawnie że go już siły opuszczały, Forest tak kończył swoje opowiadanie:

— Żem dalszych poszukiwań twego brata nie zaniedbał, żem je ciągle wznawiał, i że później, kiedy środki moje coraz obfitsze pozwalały na to, nie szczędziłem ani kroków ani stosunków przez długie jeszcze lata,—powtarzać ci nie potrzebuję. Skutek był zawsze tenże sam, ty jedna mi tylko pozostałaś; matka twoja nie mogła przeboleć straty ukochanego syna. Do końca życia nie traciła nadziei, że go zobaczy, na łożu śmiertelnem wymogła jeszcze na mnie przyrzeczenie, że po jéj śmierci udam się do Europy, ażeby osobiście ostatecznych sprobować w tym celu środków.

Przyrzekłem tem chętniéj, że nowa amnestja zdjęła ze mnie klątwę, zabraniającą mi powrotu do kraju rodzinnego i właśnie byłem w zamiarze przygotowania się do téj podróży, kiedy nieszczęśliwa choroba przykuła mnie do tego łoża. Jednakże ostatnie, gorące życzenie twéj matki nie może pozostać niespełnionem! Nie mam wprawdzie najmniejszéj nadziei odkrycia jakiego bądź śladu tam, gdzie dwudziestoletnie wszelkiego rodzaju wysilenia dostarczyć go nie mogły; ale zawsze na tobie cięży synowski obowiązek spełnienia obietnicy, któréj ja, niestety! dotrzymać nie mogę. Zresztą formy prawa wymagają, ażebyś przed objęciem całego mojego majątku przekonała się, że jesteś jedyną moją spadkobierczynią, i w tym tylko wyłącznie celu domagam się twojéj podróży do Europy. Pod względem kroków prawnych, obwieszczeń i tym podobnych środków, twój wuj chętnie wspierać cię będzie; tobie pozostawiam jedynie kierunek i nadanie energicznego popędu sprawie, do czego on sam nie jest zdolny. Tutejsze towarzystwo nie zadziwi się bynajmniéj, jeżeli rok żałoby po twoim ojcu spędzisz pośród krewnych pozostałych w jego ojczyznie. Gdyby sobie Alison życzył, w takim razie, skończywszy swą podróż po Europie, może tam przyjąć twą rękę i razem z tobą powrócić; ale to pozostawiam już waszéj woli. Zresztą ten obowiązek święty składam w twoje ręce Jenny; wiem, że go spełnisz sumiennie.

Jenny podniosła się i z całą energją nieugiętéj woli malującéj się w jéj rysach, stanęła przed swoim ojcem:

— Jeżeli można jeszcze odnaleść jakikolwiek ślad mojego brata, to ja go znajdę, mój ojcze! Ja tylko zupełnéj ulegnę niemożności. Masz na to moją rękę!

Forest uchwycił podaną sobie dłoń dziewicy. I teraz tylko uroczysta powaga objawiła się w stosunku córki do ojca. Nie było tu ani pocałunku, ani żadnéj czułości; — jedno uściśnienie ręki, jak między dwoma mężczyznami, zapieczętowało dane i przyjęte przyrzeczenie. Przez kilka sekund głębokie panowało w sypialni milczenie, aż nareszcie chory zawołał głosem stłumionym:

— Rozsuń teraz firanki, bo nie mogę znieść tego zmroku. Potrzebuję światła!

Jenny posłuszna woli ojca, rozsunęła ciężkie zielone adamaszkowe firanki, a potoki olśniewającego południowego słońca przebijając się przez szerokie weneckie okno, zalało komnatę. Chory podźwignął się na posłaniu zdawał się napawać rozległym widokiem jaki się oczom jego przedstawiał. Widział przed sobą wielkie miasto z jego ulicami i placami, z całą massą wspaniałych domów i publicznych gmachów; widział wygodny port, w którym mnóstwo uwijało się statków; widział olbrzymią rzekę, po któréj szkliniącéj powierzchni ślizgało się, jak oko zasięgnąć mogło, tysiące łodzi i parowców; widział na brzegach pośród drzew i kwiatów pojedynczo stojące wille i prześliczne domki wiejskie, a w oddali na samym krańcu widnokręgu, ciemniały odwieczne dziewicze lasy, na których pracowita ręka ludzka te wszystkie cuda zdobyła. Długo, długo Forest wpatrywał się z widocznem zajęciem w ten piękny krajobraz. Może on sobie przypomniał owe czasy, kiedy głucha puszcza pierwszy raz zadrżała pod cięciem jego siekiery, może z dumą poglądał na to miasto, które przedewszystkiem jemu byt swój i powodzenie zawdzięczało, a może też ubolewał na wspomnienie, że to wszystko wkrótce porzucić musi: Nie wiemy! Nagle, z jakiemś konwulsyjnem niemal poruszeniem opadł znowu na poduszki. Przestraszona córka schyliła się ku niemu; ale nie był to żaden paroxyzm choroby który nim tak gwałtownie wstrząsnął!

— Gdy do Niemiec przybędziesz, pozdrów tam moją ojczyznę, pozdrów Ren! Czy słyszysz, Jenny? Pozdrów mi mój Ren! Pozdrów mi Niemcy!

Słowa te wychodziły stłumione, prawie niedosłyszane z ust jego; Jenny ze zdumieniem patrzała na ojca.

— Czyliż ty je kochałeś kiedy, mój ojcze? Wszakże mnie nauczyłeś prawie je nienawidzić!

Forest milczał chwilkę czasu; usta jego drżały i jak gdyby przez jakąś straszną wewnętrzną walkę wydobyte, dwie ciężkie łzy stoczyły się po jego wybladłych licach.

— Ojczyzna niosła dla mnie same tylko nieszczęścia i nędzę! odpowiedział głęboko wzruszony. Prześladowała mnie, więziła, wygnała z ziemi swojéj; odmówiła nawet kawałka chleba dla mnie i dla mojéj biednéj rodziny. Ameryka obdarzzła mnie wolnością, dała mi bogactwo i cześć, a jednakże teraz Jenny, oddałbym to wszystko, wszystko, byle tylko nad Renem umrzeć!

W tym wybuchu długo tłumionego bólu było coś tak przejmującego, że przestraszona Jenny cofnęła się od ojca. Przyszła jéj na myśl owa nieszczęsna tęsknota za krajem rodzinnym. Matka jéj wątła, delikatna, na nią chorowała, na nią tyle lat cierpiała, na nią umarła; ale jéj ojciec, ten dumny, energiczny człowiek, który ze swoim krajem rodzinnym i jego wspomnieniami tak stanowczo zerwał, który do swojéj przybranéj ojczyzny tak całą duszą przylgnął, i który w nienawiści swojéj dla przeszłości zdawał się być zupełnie skamieniałym,—ten człowiek w głębi serca swojego ukrywał tęż samą dręczącą tęsknotę przez długi szereg lat, i teraz dopiero w godzinie śmierci zdradził swoją tajemnicę!

Jenny stała niema nie pojmując wcale tego odkrycia, ale czuła przecież, że tu właśnie było to coś dziwnego, czem ojciec i matka, mimo wszelkich nieporozumień byli z sobą zjednoczeni, i że właśnie w tym jednym punkcie ona od nich obojga zawsze tak rażąco się różniła. Spojrzała na chorego, który leżał teraz spokojnie, z zamkniętemi oczyma i mocno zaciśnionemi usty; wiedziała, że w takich chwilach nawet ona przeszkadzać mu nie powinna. Zbliżyła, się więc po cichu do okna, spuściła firanki i znowu w komnacie chorego zmrok poprzedni jasne słoneczne światło zastąpił.

— Otóż to śliczna, obiecująca introdukcja, jaką nas ten szeroko sławiony Ren przejmuje. Od trzydziestu sześciu godzin mam już do syta tego całego kraju! Wysiadając na ląd, spotyka cię mgła, że ani dojrzysz brzegu dopóki nogi na nim nie postawisz, przez cały dzień pobytu w Hamburgu leje deszcz ulewny, jak gdyby nowy potop miał nastąpić, a tutaj nad Renem, znowu takież samo położenie. Nie pojmuję miss Jenny, jak przy tem wszystkiem pani możesz być tak spokojną!

Położenie, jakie pana Atkinsa tak strasznie oburzało, nie było rzeczywiście do zazdrości. Śród gęstéj mgły i spokojnie lecz nieustannie padającego deszczu, stała wpółwywrócona kareta pocztowa na rozmiękłym trakcie, a obok niéj, ze zwieszonemi głowami, cztery zmęczone konie; w rowie przydrożnym siedział nad złamanem tylnem kołem powozu pocztyljon z obwiązaną głową, stękając i trzymając się obu rękoma za również potłuczoną nogę. Jenny, która z rezygnacją obok niego stała, zamiast wszelkiéj odpowiedzi wzruszała tylko ramionami.

— Niepodobna, ażebyśmy tu dłużéj na takim deszczu stali! dodał z gniewem Atkins, a tem bardziéj też pani! O ile mi się zdaje, skaleczenia naszego pocztyljona nie są wcale niebezpieczne, i on utrzymuje, że do B. mamy jeszcze najwięcéj jednę godzinę drogi. Najlepiejby więc było, ażebyśmy tam zaraz wyruszyli i następnie przysłali mu potrzebną pomoc.

— Nie, przerwała Jenny spokojnie ale stanowczo: Krew ciągle jeszcze idzie i grozi mu co chwila omdleniem. Nie możemy go tu samego i bez żadnéj pozostawić pomocy. Już to przynajmniéj pan musisz się przy nim zatrzymać, a ja sprobuję do najbliższéj dobić się osady.

— Sama? W obcym kraju? środ takiéj mgły, która panią może prosto zaprowadzić do téj zaczarowanéj rzeki, którą tam gdzieś w dole słychać, a któréj i śladu dojrzeć nie można? Nie, na to ja pod żadnym warunkiem nie pozwolę.

— Nie obawiam się niczego, odparła Jenny ze stanowczością, dowodzącą, że nawet od Atkinsa nie była przyzwyczajoną jakichkolwiek przyjmować przepisów, i jeżeli prosto tą drogą pójdę, wszelkie zabłąkanie jest niemożebnem. W każdym razie nic innego uczynić nam nie pozostaje.

— Alež, miss Jenny, zastanów się pani. Gdyby się przynajmniéj jaka ludzka dusza pokazać chciała! Ha! idzie ktoś! Jedno słówko sir, zatrzymaj się łaskawie!

Te ostatnie słowa, lubo po niemiecku wymówione, musiały wybitnym swoim akcentem angielskim przekonać nadchodzącego, że zaczepiający go był cudzoziemcem, gdyż cichym, ale dźwięcznym głosem zapytał go jak najczyściéj po angielsku: „O cóż to idzie, sir?

— Bogu dzięki, to jakiś gentleman, bo mówi po angielsku! szepnął Atkins oddychając, i zbliżywszy się szybko do nieznajomego, który dotąd jeszcze w połowie mgłą był zakryty, rzekł do niego:

— Nasz powóz uległ smutnemu wypadkowi, koło nam się złamało, pocztyljon zraniony, a my jesteśmy tutaj zupełnie obcy. Czy pan nie do B. podąża?

— Tak jest, panie.

— W takim razie poważam się prosić, ażebyś nam pan raczył pierwszą lepszą furmankę nadesłać. Ale, ale, jeszcze jedno! Mam nadzieję, że pan będziesz łaskaw tę młodą damę, moją towarzyszkę, aż do B. pod swoją przyjąć opiekę?

Nieznajomy, który na pierwsze żądanie przyzwalająco i grzecznie się ukłonił, na drugie cofnął się o krok jeden i jakby przestrach jakiś odbił się w jego głosie, kiedy machinalnie prawie powtórzył:

— Młodą damę, ja mam....

— Doprowadzić do miasta, tak jest i do domu, który ona panu wskaże. Miss Jenny, czy mogę panię prosić, ażebyś się oddała opiece tego gentlemana? Pani nie możesz się dłużej na ten deszcz wystawiać.

Jenny, która dotąd dosyć obojętnie powyższéj rozmowy słuchała, zwróciła się teraz do nieznajomego, którego jéj Atkins jako jéj towarzysza przedstawiał. Spojrzała ona w delikatne, blade oblicze, w dwoje niebieskich, marzących oczów, które przecież w obecnéj chwili tylko jakieś przerażenie i dziwne pomięszanie wyrażały. Zresztą, nie zostawiono mu dosyć czasu, ażeby on nad tem ostatniém zapanować zdołał.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, rzekł Atkins, nie czekając bynajmniéj na jego przyzwolenie. Ale teraz będę jeszcze pana prosił, ażebyś bezzwłocznie w dalszą drogę puścić się raczył, już to przez wzgląd na tę damę, już wreszcie i dla mnie, który spiesznego tu oczekuje ztąd wybawienia. Żegnam, miss Jenny, i bądź pani spokojną o naszego rannego pocztyljona, nad którym będę troskliwie czuwał. Do prędkiego spodziewam się suchszego zobaczenia!

Wszystko to zostało tak zręcznie, szybko, z taką dyktatorską grzecznością, a zarazem takim nakazującym tonem ułożone, że w rzeczy saméj, najmniejszy opór zdawał się być niemożebnym. Nieznajomy nie probował go też bynajmniéj; przyjął wszystko co nań spadło z największém pomięszaniem i spełniając machinalnie dane sobie zlecenie, niemym ukłonem wezwał młodą damę do zadosyć uczynienia żądaniu Atkinsa. W chwilę potem znajdowali się już oboje na drodze, któréj blizki załom zasłonił ich wkrótce przed wzrokiem pozostałych.

Czy nieznajomy był więcéj zdziwionym tym czysto amerykańskim sposobem, oddania młodéj kobiety pod opiekę pierwszego lepszego spotkanego na publicznéj drodze wędrowca, czy też więcéj nastraszony narzuconą mu rycerską usługą, trudno by tutaj było rozstrzygnąć. To jedno tylko było widocznem, że był niezmiernie zmięszanym tak niespodziewanem zleceniem, i że w tem pomięszaniu swojem nie umiał ani zbliżyć się do swojéj towarzyszki, ani też jakiejkolwiek rozpocząć z nią rozmowy. Ale też miss Forest inaczéj pojmowała jego postępowanie; przyzwyczajoną ona była, gdzie tylko przybyła, widzieć się przedmiotem największéj uprzejmości, szczególniéj zaś przyzwyczajoną była do częstokroć przesadzonych grzeczności i nadskakiwań, jakich w Ameryce każda dama, nawet od obcych, najobojętniejszych dla siebie ludzi, wymagać może; gdy tymczasem tutaj, człowiek ten z pozoru i mowy gentleman jakiś, tak mało zdawał się być ujęty zaszczytem towarzyszenia takiéj jak ona damie, że nawet nie widział potrzeby ani jednego przemówić do niéj słowa. Jenny zagniewanym wzrokiem zmierzyła tego bezwstydnego towarzysza, i zacisnąwszy usta postanowiła również ze swojéj strony najmniejszym nie odezwać się do niego wyrazem.

Może już z dziesięć minut postępowali w głębokiem obok siebie milczeniu, gdy towarzysz młodéj amerykanki zatrzymał się nagle i równie jak pierwéj, cichym dźwięcznym głosem przemówił do niéj. Droga nasza zatacza się odtąd wielkim łukiem naokoło miasta.

Czy mogę panię bliższą poprowadzić drogą, którą ja sam zwykle chodzę?

— Oddałam się bezwarunkowo przewodnictwu pana! odpowiedziała Jenny krótko i zimno, poczem towarzysz jéj, skłoniwszy się powtórnie, zeszedł z dotychczasowéj drogi i zwrócił się na lewo.

(d. c. n.)

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK

Studjum K. W. Wójcickiego.

(Dokończenie.)

„Wszystkie zwyczaje rolniczego narodu zbiegły się tu razem. Wysłany stół sianem, owe snopki po rogach izby, owe pierwiastki źrebiąt, cielątek i jagniąt wprowadzone do izby — jednem słowem, to wszystko co nam szopkę przypomina, jest corocznem powtórzeniem tegoż samego na całym naszym obszarze i wiecznie tąż samą poezją.

„Wszyscy skupiają się — wówczas słychać jakiś gwar za oknem, słychać głosy, migają światełka. Z szopką lub gwiazdką przychodzą żaki i zwiastują dobrą wieść światu i ludziom dobréj woli, że się Chrystus narodził. Za prawdę jest to sielanka bardzo dawna, a jednakowoż corocznie się powtarzająca. Gdy na nią patrzymy, nie możemy patrzeć bez najwyższego rozrzewnienia, zwłaszcza, gdy się w każdéj rodzinie i w całym narodzie, do tego pewne łączą wspomnienia, które corocznie wracają. „Bóg się rodzi! „to dobra, to wielka wieść dla świata."

Po tych słowach zabrzmiały wesołe kolendy, tak przyrosłe do naszéj pamięci i serca, i one zamknęły szereg prelekcji Wincentego Pola o *Muzyce kościelnéj*.

Niestety! Sędziwy wieszcz już je tylko improwizował, bo ciemna opona zakrywała oczy. Te improwizacje stenografią zachowane zostały i następnie drukiem ogłoszone.

Jak prawie każdy swój utwór prozą poprzedzał poezją, tak i tu rozpoczynając rzecz swą, na czele wypowiedział myśl główną wierszami:

„Śpiew i poezja siostry nierozdzielne,
Jak towarzyszki chwil wybranych tylko,
Wiodą człowieka na gody weselne,
I chociaż władną jedną tylko chwilką,
To do téj chwilki zawsze wracać trzeba
Boleścią serca i miłością nieba,
Jako do myśli i do uczuć kwiatu,
Co w skąpym darze, padł biednemu światu!

. . . .

„Ze wszystkich głosów największy pobożny,
Bo się zwierciedli w Pańskiéj obliczności:
Ze wszystkich duchów, owo duch wielmożny,
Który rozgorzał w téj Bożéj miłości.
Więc o tym śpiewie i wielmożnym duchu
Pragniemy ponieść wam poczciwe wieści:
Tony i słowa płyną w dwóch sfer ruchu,
Bożéj miłości i ziemskiéj boleści."

Już od téj pory — ślepota zakryła wzrok poety: ale bogaty umysł tak nauką jak talentem, daje mu obfitą osnowę do prac prozaicznych i poetycznych utworów. Po prelekcjach o Muzyce kościelnéj, miał drugi wykład o literaturze polskiéj XIX wieku, który podobnież został jako z improwizacji stenografowany. W nim rozwinął Pol cały obraz tego okresu, z samodzielnego swego stanowiska.

* * *

Streśćmy więc nasz pogląd na prace prozaiczne Wincentego Pola, który tak wyniośle zajmuje stanowiskow plejadzie poetów epoki po-Mickiewiczowskiéj.

Od lat dwudziestu z górą, kiedy pierwszy raz wystąpił z rzutem oka na umiejętność geografii — w tym kierunku ciągle idą jego prace zwrócone głównie do opisu własnego kraju.

W obrazach życia i natury, odmalował nam po mistrzowsku rozmaite okolice téj ziemi, a obrazy te ożywiał—wprowadzając w nie i ludzi, którzy je zamieszkali, i oznajomili się najlepiéj z ich przyrodą. Umiejętny z niego wędrownik, a do tego z uczuciem poetyczném, umie pochwycić wszystkie najsubtelniejsze odcienia, stanowiące dopiero dokładną całość, odzwierciedlającą wiernie wszystko na co patrzał, co czuł, i jaki oddech natury pochwycić zdołał.

Łowiec biegły, w Roku myśliwca, nietylko porami zmiennemi roku, ale miesiącami, kreśląc zajęcia myśliwego, stawia przed naszemi oczyma zmienną panoramę ulatującéj doby.

W historycznym obszarze, śledzi język macierzysty w jego odmianach, wskazując w których okolicach pozostały wyraźne ślady języka biblijnego z czasów *Wujka*, to języka, który stał się podstawą piśmiennictwa naszego.

W prelekcjach o muzyce kościelnéj, nietylko nas oznajmia z tak mało znanym przedmiotem, ale wykazuje tę stronę społeczności naszéj, która dobitnie przez tyle wieków wydatnieje, od czasu utrwalenia chrześciaństwa. Wreszcie, dając obraz literatury XIX stulecia, przedstawia stan duchowéj téj społeczności, która przez długie wieki pracy, doszła do wyrobienia w sobie samodzielnéj literatury.

Ogół tych prac sędziwego poety, jak malowniczo przedstawia różne strony ziemi, tak zarówno społeczności naszéj stronę duchową, i ów język którym swój byt odznacza. A wszystko w formie tak uroczéj, powabnéj i pociągającéj, że czytelnik z żalem zamyka każdą z tych książek, z których większa połowa jest improwizacją, bo ślepota wytrąciła Polowi pióro z ręki już od dawnego czasu.

Opisy do N. 14.

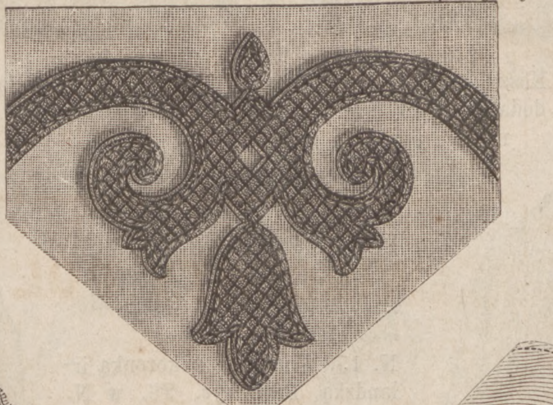
N. 1 i 2. Teka na koszule.

Aplikacja z juchtowéj skóry na niewarowym płótnie.

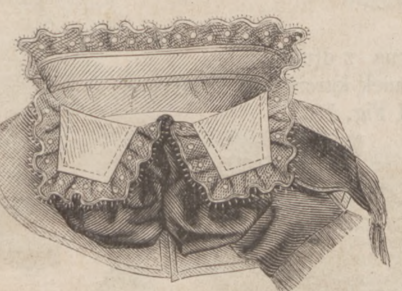
Okładki teki mające 41 cent. dłu., a 27 cent. szerokości, wykrojone są z dobréj sztywnéj tektury i oklejone płótnem niewarowem; na zwierzchniéj przystębnowana jest aplikacja z juchtowéj skóry. N. 2. podaje w naturalnéj wielkości narożnik arabeski, podług którego z łatwością cały deseń może być ułożony. Środkowy monogram wycina się ze skóry, podług ryc. 7 w N. 13 Tygodnika okręca złotym sznurem i stębnuje do płótna. Brzegi teki, od których aplikacja arabeski, powinna być mniéj więcéj 3 cent. oddalona, przyozdobione są oblamowaniem ze skóry. Oprócz tego w koło dany jest pod tož lamowanie wązki dziergany i w supełki wyszyty na płótnie szlaczek, jedwabiem tego co skóra koloru. Takiż sam szlaczek, otacza brzeg dolnéj okładki, zostawionéj bez aplikacyi, do któréj przyszyta jest kieszeń do wkładania koszul, urządzona na sposób rozkładanéj koperty do listu. Brzegi kieszeni powinny być odziergane, do zamykania zaś służy tasiemka elastyczna. Z wierzchu teka wiąże się na kokardy ze wstążki.



N. 1. Teka na dzienne koszule. Aplikacja ze skóry juchtowéj, przystembnowana na płótnie niewarowem. Wzór do aplikacji skóry podaje ryc. 2.



N. 2. Stębnowana aplikacja skóry do teki N. 1.



N. 3. Kołnierzyk z osobno dodanemi klapkami. Krój na arkuszu z krojami N. XXII F. 65—67.



N. 4. Mankiet do kołnierzyka N. 3.



N. 5. Kołnierzyk z wywiniętemi rogami. Krój ua arkuszu z krojami N. XXIII Fig. 68.



N. 6. Mankiet do kołnierzyka N. 5.

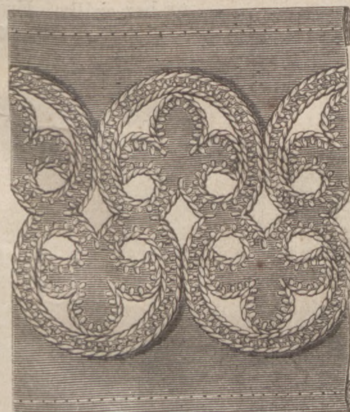
N. 3—4. Kołnierzyk stojący

z wyłożonemi z przodu klapkami.

N. 5. — 6. Kołnierzyk z wywiniętemi rogami

Fig. 68 połowa kołnierzyka.

Na obadwa kołnierzyki i na mankiety, potrzeba między płótno i podszewkę dać dla sztywności jeszcze jedno podłożenie. Jedno przestębnowanie i koronka przyszyta sposobem na rysunku wskazanym, stanowi całą ozdobę gładkich kołnierzyków i mankietów. Mała szmizetka kraje się z szyrtyngu, w jednéj sztuce bez szwu żadnego. Na spięciu kołnierzyków dane kokardy z kolorowéj 7 c. szerokiéj wstążki, zakończone długą siepaną i wiązaną frendzlą.



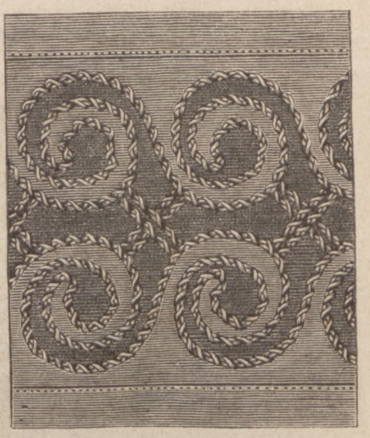
N. 8. Pas dziergany na płótnie do worka N. 7.

N. 7—9. Worek na brudne negliżyki i kołnierzyki.

Worek szyje się z kawałka kaszmiru, mającego 60 cent. długości, 78 cent. szerokości, pod który daje się muślinową podszewkę. Przyozdobienie stanowią 7 pasów ażurowych, dzierganych na szarym płótnie, białą bawełną. N. 8 podaje deseń i miarę szerokości pasów, które przystębnowane być powinny w odległości 7 i pół centy. jeden od drugiego. Między pasami dane są na kaszmirze pojedyncze rozety, także na płótnie odrobione. W miejsce deseniu N. 8. użyć można N. 9-go a rozety odrobić szydełkiem. U dołu woreczek jest zmarszczony i kwastem wełnianym zakończony albo też ma okrągłe, rozetą ozdobione denecczko. W górze dodana listewka, do przewłóczenia wstążek do ściągania, a nad nią dziergany szlaczek.

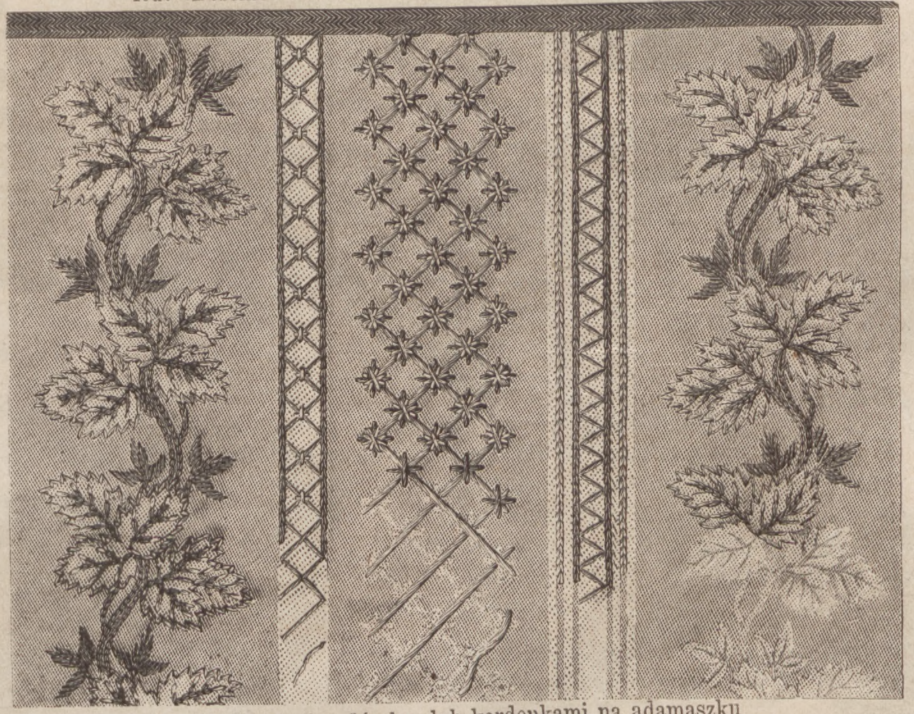


N. 7 Worek na brudne negliżyki, kołnierzyki itd. Desenie do dziergania N. 8 i 9.



N. 9. Pas płócienny do worka. N. 7. Aplikacja kaszmiru przyszyta ściegiem łańcuszkowym, przyszytym ściegiem sznureczkowym.

N. 10. Szlak wyszywany na adamaszku w pasy, na meble, poduszki do kanapy i t. d. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 37.



N. 10. Wyszycie włóczką lub kordonkami na adamaszku w pasy. Na poduszki do kanapy, torby lub pokrycie mebli. Deseń w naturalnéj wielkości podany na arkuszu z krojami Fig. 37.

N. 11 i 12. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 13. Koszula nocna z zakładami u góry zastembnowanemi. Figura 48 podaje tylko połowę długości stanu, który trzeba w krajaniu dopełnić. Na trzy od ramion zastembnowane fałdy, mające 2 cen. szerokości, dodaje się o tyle, ażeby połowa stanu miała 36 c. szerokości.

Bryt tylny powinien mieć u dołu 118 c. szerokości, ku górze być kliniasto zwężony, w długości i wykroju pachy do przodu zastosowany, w górze równo zmarszczony i do karczka podwójnego wszyty. Długość od wycięcia pachy jest około 94 centymetrów. Przy ramieniu i wszyciu w mankiet szeroki, rękaw jest zmarszczony. Zaszyty mankiet powinien być tak szeroki, ażeby ręka przeszła z łatwością; tak ten ostatni jak i kołnierz w wązki pasek wszyty jest dubeltowy. Zwierzchnia zakłada do zapinania, powinna być przyozdobiona dzierganemi ząbkami albo haftem i dwa razy przestębnowana; na obrąb od spodu przyszywa się osobny kawałek płótna. Tak na zakładach tylko od góry zastębnowanych, a niżéj rozchodzących się wolno, jak przy kołnierzu i mankietach dodane są dwa rzędy takiego samego szlaczku jak przy rękawach, a poza niemi jeden rząd stębnówki.

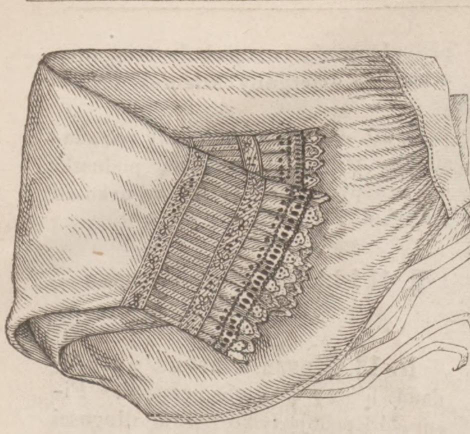
N. 14. Koszula nocna

z długim w zakładki zaszytym karczkiem.

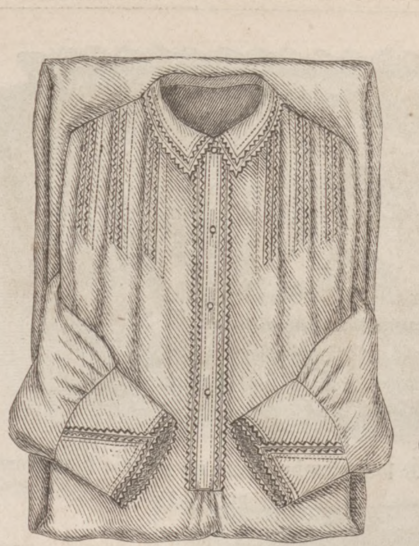
Krój F. 53. Połowa przedniéj i tylnéj części karczka z dodaniem linji zmniejszających.

Podana pod N. 14 koszula odrobiona jest z cienkiego szyrtyngu. Przednią i tylną część karczka trzeba krajać z kawałka prostego, poprzednio całkiem zaszytego w drobne zakładki w maszynie, albo też z materjału fabrycznie w zakładki tkanego. W taki sam sposób urządzić mankietki zaszyte, i tak szerokie żeby ręka mogła przechodzić z łatwością.

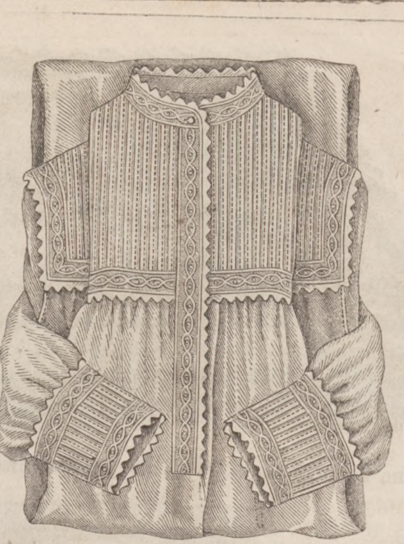
Tak pod karczek jak i mankiety daje się gładką perkalową podszewkę, która powinna być o tyle dłuższą od wierzchu, ażeby sięgała pod wstawki otaczające karczek i mankiety. Wstawki te stanowi prosty pasek szyrtyngu 2 i pół centy. szeroki, wyszyty bawełnianym perełkowym sutaszem i ściegiem supełkowym czarnym lub białym. Z brzegu wstawka zakończona jest ząb-



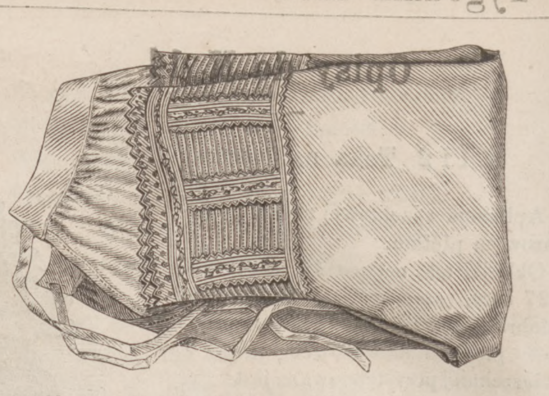
N. 11. Majtki damskie oszytę falbanką. Krój na arkuszu z formami N. VI Fig. 19 20. Garnirunek zobaczyć N. 56—57.



N. 13. Koszula z zaszytemi fałdami. Krój na dodatku N. XV Fig. 53. Garnirunek ryc. 52 i 53.



N. 14. Koszula nocna z długim karczkiem. Rysunek karczka na dodatku N. XVI Fig. 53.



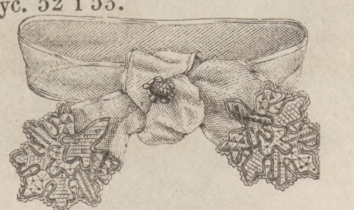
N. 12. Majtki damskie. Krój na arkuszu z krojami N. VI Fig. 19—20.



N. 16. Czepek nocny z czółkiem. Krój, prawa strona arkusza N. VIII, Fig. 25—62 n. o.



N. 18. Ranny kaftanik z garnirunkiem w kwadraty. Krój w dodatku N. II. Fig. 5 — 7. Patrz część kołnierzyka N. 50 — 51.



N. 15. Krawatka z koronką irlandzką. Patrz ryc. 26. w N. 13. w Tyg. Mód.



N. 20. Ranny kaftanik z szerokimi rękawami i negliżowy czepek z muślinu. Krój na dodatku N. II. Fig. 5



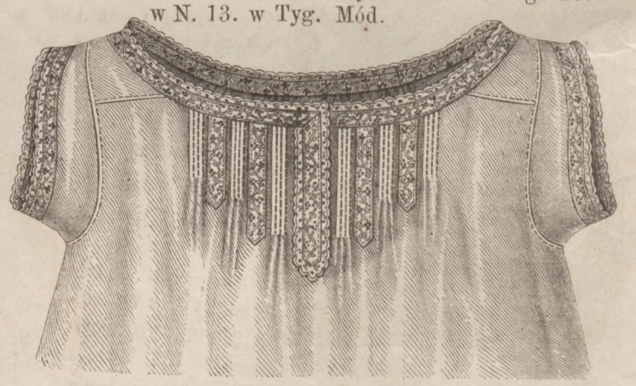
N. 19. Ranny kaftanik z wązkimi rękawami. Krój na dodatku N. II. Fig 5 — 6 i 8 patrz ryc. 45 w N. 13. w Tyg. Mód.



N. 17. Czepek nocny bez czółka. Krój na dodatku N. X. Fig. 29.



N. 21. Flanelowa spódnica z okrągłym paskiem. Patrz krój paska przy kroju majtek N. 11. Doseń haftu na dodatku Fig 76.



N. 24. Koszula damska z odcinanemi ramiączkami. Krój na dodatku N. XVIII. Fig. 56—58. Patrz rozmaite garnirunki w N. 13 i 14. Tyg. Mód.



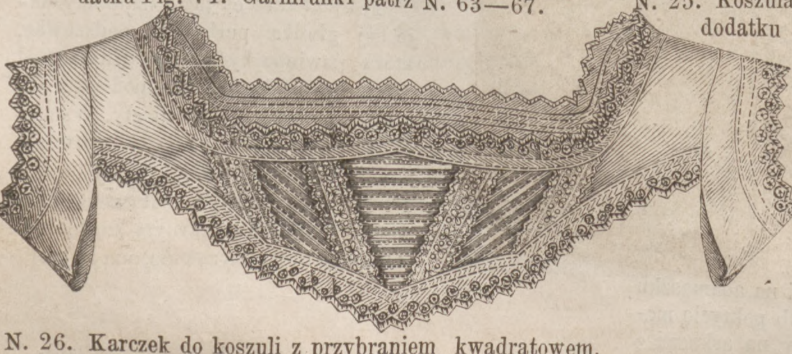
N. 22. Spódnica do sukien powłóczystych. Haft na dodatku Fig. 74. Garnirunki patrz N. 63—67.



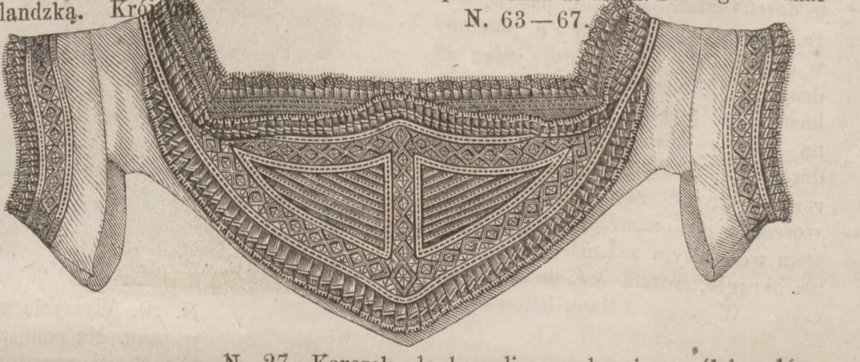
N. 25. Koszula dzienna z koronką irlandzką. Krój na dodatku N. III. Fig. 10—10a.



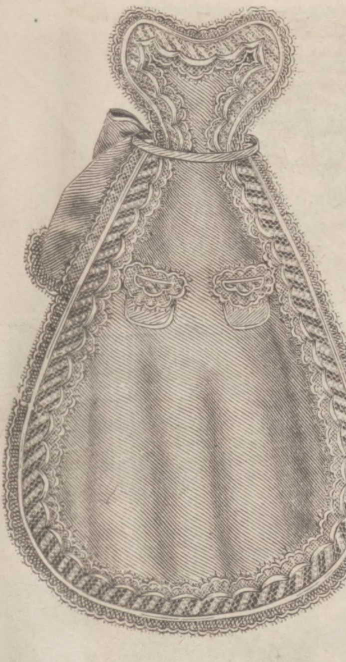
N. 23. Spódnica pod suknie do ziemi. Patrz garnirunki N. 63—67.

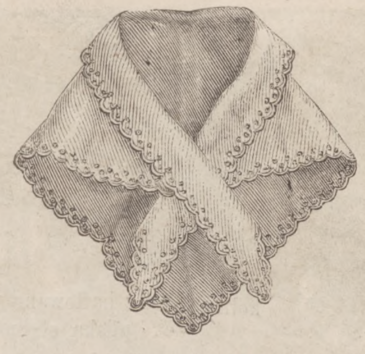


N. 26. Karczek do koszuli z przybraniem kwadratowem. Krój na dodatku N. IV, Fig. 11—14.

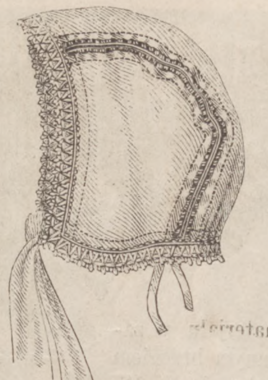


N. 27. Karczek do koszuli z przybraniem półokrągłem. Krój na dodatku N, IV. Fig: 11—14.

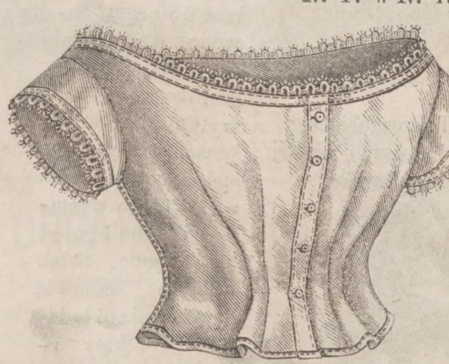

N. 28. Fartuszek z napierśnikiem ozdobiony ząbkami. Krój napierśnika. Patrz N. 29.


N. 30. Ranna chusteczka ozdobiona haftem. Deseń na haft. Zobacz ryc. 31—41 w N. 13. Tyg. Mód.


N. 32. Nocny kaftanik dla młodych osób. Krój w dodatku N. V. Fig 15—18. Szlaczki, patrz N. 47 w N. 13. Tyg. Mód.


N. 31. Czepek nocny z trzech części. Krój na dodatku N. IX. Fig. 27—28.

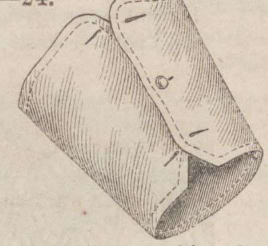

N. 29. Fartuszek zakończony ząbami. Krój na dodatku N XXI Fig. 64.

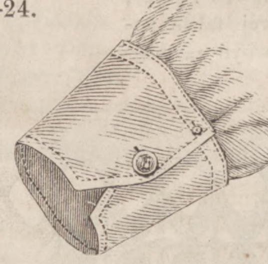

N. 33. Staniczek na gorset z gładkiego materjału. Krój na dodatku N. VII Fig. 21—24.


N. 34. Staniczek z materjału zaszywanego w fałdki. Krój na dodatku N. VII Fig. 21—24.


N. 35. Koszula z okrągłym wykrojem. Krój i haft na dodatku N. XVII Fig. 54—55.


N. 36. Koszula dzienna z szerokim karczkiem. Krój na dodatku N. XIX. Fig. 56—62.


N. 43. Podwójny mankiet do kołnierzyka N. 41 i 42. Krój na arkuszu z krojami N. XI Fig. 34.


N. 44. Mankiet do kołnierzyka N. 41 42. Krój prawa stro. na arkusza N. XI, Fig. 35.

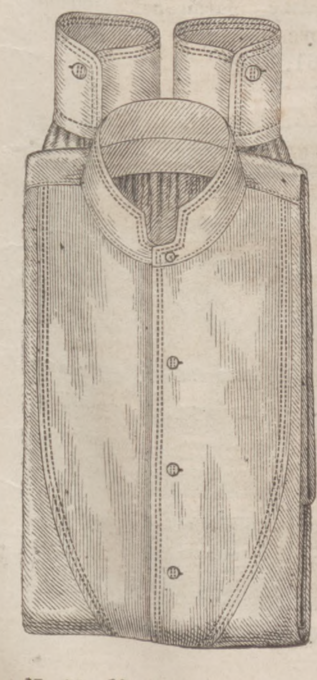


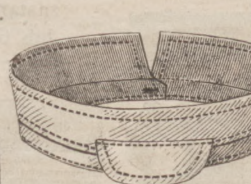

N. 38. Flanelowa chusteczka pod stanik. Krój i haft na dodatku N. XX Fig. 63 i 77.


N. 40. Spód turniury do N. 39.

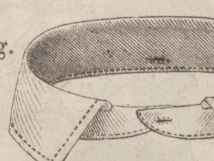

N. 39. Turniura do kostjumów. Patr N. 40.

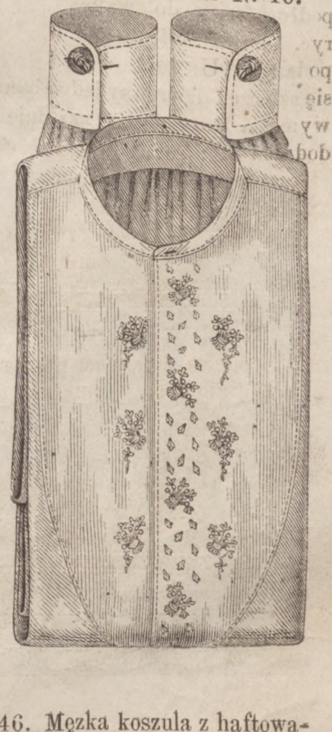
N. 37. Penioar z kołnierzem. Krój na dodatku N. I Fig. 1—4. Patrz wstawkę N. 54.

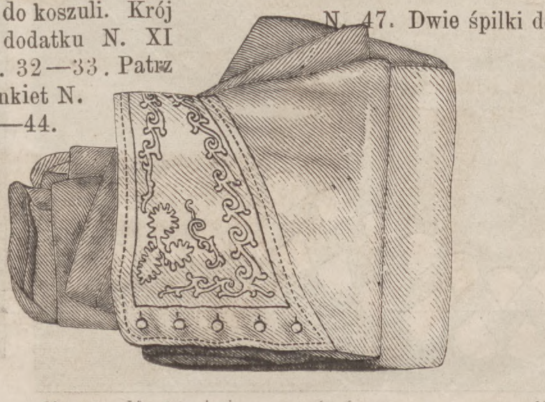


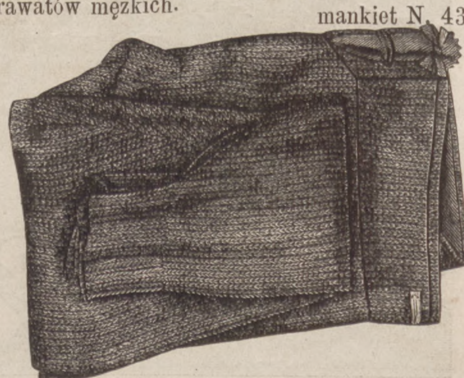

N. 41. Stojący kołnierzyk do przypinania do koszuli. Krój na dodatku N. XI Fig. 32—33. Patrz mankiet N. 43—44.


N. 47. Dwie śpilki do krawatów męzkich.


N. 42. Wykładany kołnierzyk. Krój na dodatku N. XI F. 30—31. Patrz mankiet N. 43—44.





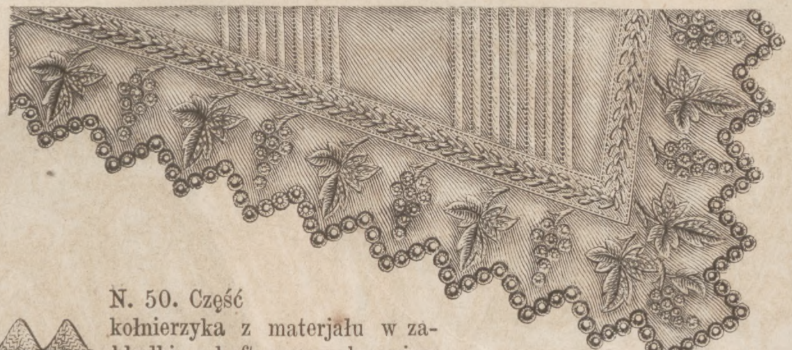


N. 45. Męzka koszula z gładkim gorsem.

N. 48. Męzkie kalesony z haftowanym pasem. Krój na dodatku N. XXII Fig. 69—71a.

N. 49. Trykotowe kalesony męzkie.

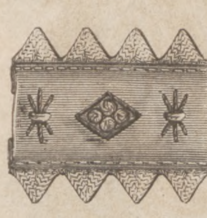
N. 46. Męzka koszula z haftowanym gorsem.



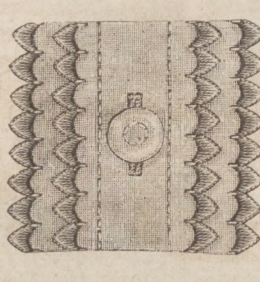
N. 50. Część kołnierzyka z materjału w zakładki, z haftowanym brzegiem i wyszywaną pliską do N. 18.



N. 51. Część kołnierzyka z haftowaną wstawką, szlaczkiem i takąż pliską stębnowaną.



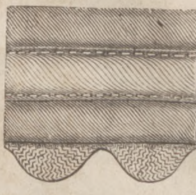
N. 54. Wstawka z haftowaną plisą i przystembnowanemi ząbkami do penioaru N. 37.



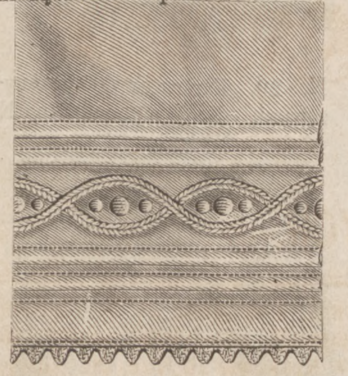
N. 52. Garnirunek zakłady ozdobiony dzierganiem do koszuli nocnéj i kaftanika N. 13.



N. 53. Przyozdobienie zakłady do koszuli nocnéj i kaftanika.



N. 55. Garnirunek z pliską i przyszytą ze spodu plecionką do koszuli N. 36.



N. 56. Garnirunek do majtek i spódnic. Szew maszynowy. Muszki haftowane wypukło.

kami z tasiemeczki. Zwierzchni obrąb i stojący kołnierzyk są z takiejże wstawki. Do zapinania koszulki dodana jest pod obrębem osobna 2 cent. szeroka listewka. Stan do takiéj koszuli kraje się zupełnie prosto bez klinów, dając długość i szerokość odpowiednią wzrostowi i figurze, do któréj także powinna być zastosowana długość otworu z przodu. Taki fason służyć także może dla niedorosłéj panienki, jeżeli długość i szerokość karczka, zostanie odpowiednio zmniejszoną.

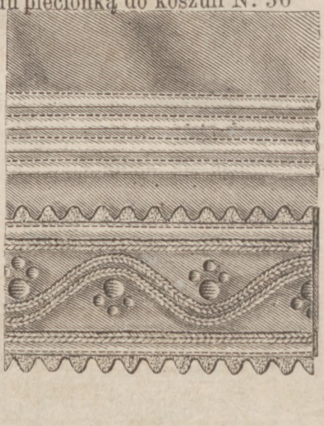
N. 15. Krawatka z końcami z koronki irlandzkiéj.

N. 16—20. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 21. Spódnica flanelowa. Pas jak do majtek N. 11. szlaczek na arkuszu z krojami Fig. 76. Spódnica z różowéj flanelki, ukrojona podług zwykłéj formy w kliny, ma 82 centy. długości, a 212 centy: dolnéj szerokości.

Pasek przykrawa się podług formy do majtek ryc. 11 w N. 14 Tygod. podanej. U dołu daje się szlaczek dziergany jedwabiem różowym, na który deseń znajduje się na dodatku Fig: 76.

N. 22. Spódnica do sukni powłóczystéj. Deseń haftu Fig. 74 na arkuszu z formami. Spódnica z cienkiego półbatystu, ma z przodu 100, z tyłu 160 cent. długości, a 310 cent. dolnego obwodu. Wolant 450 cent. obwodu, ma z przodu 50, z tyłu 68 cent. szerokości. Przyszyty on jest w ten sposób, iżby obrąb spódnicy cokolwiek z pod niego wystawał i chronił go od uszkodzenia. Szlak wolantu stanowią poprzecznie układane czworokąty układane ze wstawek haftowanych i zakładek, które mają 13 cent. wysokości, a 6 i pół szerokości.

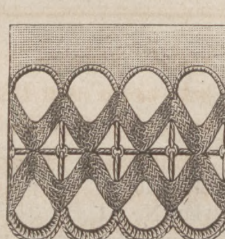


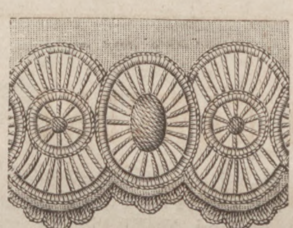
N. 57. Obszycie do majtek i spódnic. Wielkość naturalna 7 i pół cent. szerokości. Pleciony sutasz, wypukłe muszki i ząbki.

Układ ich i oszycie koronką, wskazane jest na rysunku.



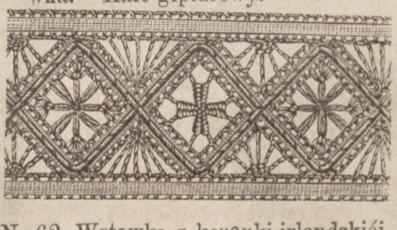
N. 60. Ranny czepeczek muślinowy.



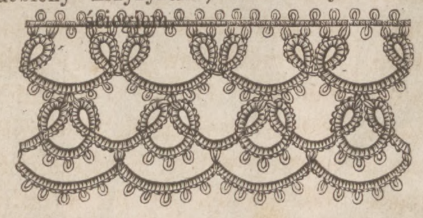


N. 59 Brzeżek albo wstawka. Haft gipiurowy.

N. 23. Spódnica do kostiumu. Garnirunek pod N. 59 lub 61 — 62. Spódnica ta ma z przodu 100, z tyłu 110 cent. długości, u dołu 306, u góry 128 cent. obwodu.



N. 62. Wstawka z koronki irlandzkiéj z naszyciem gipiurowego sznura, do karczka. N. 27.

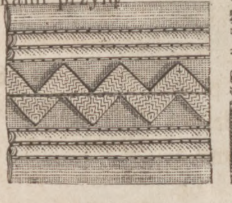


N. 58. Szlak z plecioneczki w ząbki ozdobiony krzyżykami, koronkowym

N. 61. Koroneczka frywolitowa dwoma nitkami przyłączona do plecionki mignardise.



N. 63. Szlak do spódnic, penioarów lub całych ubrań. Haft gipiurowy.

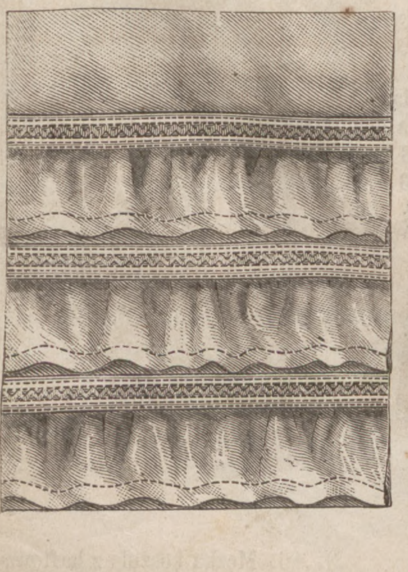


N. 66. Oszycie z plecionką w ząbki i sznurem stębnowanym.

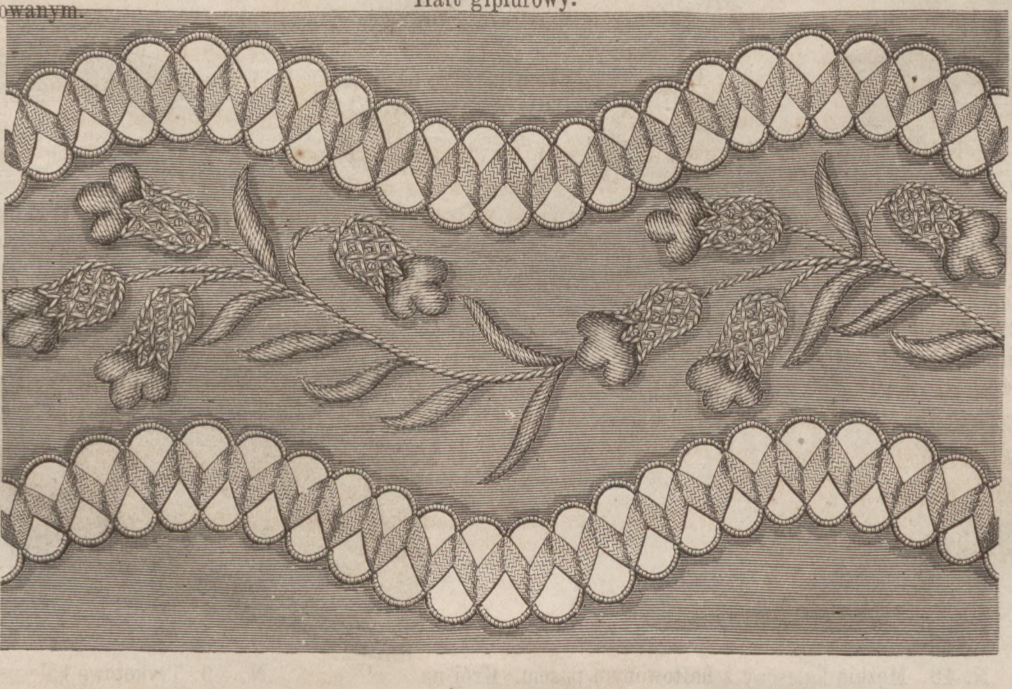


N. 68. Pliska z przystębnowanemi ząbkami do N. 67.

Garnirunek mający 28 cent. szerokości, składa się z 7, 2 i pół cent. szerokich plisek, w górze grubym sznurem i ząbkami z tasiemki oszytych i gładko przystębnowanych. Sznur powinien być poprzednio sparzony, ażeby się w praniu nie kurczył. Powyższy garnirunek można zastąpić podanym pod N. 59 lub 61.



N. 65. Garnirunek do spódnicy z wązkiemi wolantami po 7 i pół cent. Pliski nad wolantem. Patrz N. 66.



N. 64. Wstawka. Haft i plecionka. Do spódnic, penioarów itp.



N. 67. Garnirunek do spódnicy z wolantem 28 cent. Patrz pliski N. 68.